Nr. 7. Lwów — Środa dnia 9 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłaty należy wnosić z góry.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petit wy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 30 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Śr. | św. Marcyanny P. | 2000 Mucz.
Jutro: Czw. | św. Pawła Pust. | SS. Młodenciw

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 58
Zachód „ 4 „ 18

Długość dnia g. 8 m. 20
Przybyło dnia od wczoraj m. 1

Przegląd polityczny.

Lwów 8 stycznia.

Hr. Szuwałow, bawiący teraz w Berlinie, rzekł tam — jak donoszą półurzędowe *Berl. Polit. Nachr.* — że do 9 stycznia zabawi w Niemczech, potem uda się do Petersburga, a dopiero 20 bm. stanie w Warszawie. Do tego czasu, a zapewne i potem jeszcze, będą panowały tylko domysły co do kierunku jego rządów. A czem więcej czasu i pola zostawiono tym domysłom, tem dobitniej objawia się z jednej strony otrzeźwianie się opinii polskiej, a ze strony drugiej — szowinizm opinii rosyjskiej. Po dymisyi Hurki była chwila, psychologicznie zupełnie zrozumiała, w której radość z powodu ustąpienia okrutnika przerodziła się w szeroką nadzieję na lepsze czasy. Każda ulga sprawia taki efekt, bo to jest mimowolny odruch, a zatem nie można mówić, że ten chwilowy przebłysk nadziei dowodzi, iż Polacy zawsze jeszcze nie rozumieją Rosyan, Rosyi, jej systemu i dążności. Jeśli nadzieje tu i ówdzie szły dalej, niż na to pozwalał optymizm, świadomy jednak politycznych celów Rosyi w Królestwie Polskiem, to już to ustało. Natomiast opinia rosyjska, zrazu jak gdyby życzliwa dla myśli o pewnym zwrocie ku sprawiedliwości i normalnym stosunkom, wraca teraz coraz wyraźniej na stanowisko nieprzejednane. Od ogłoszenia w *Gońcu Rządowym* reskryptu, w którym car dziękuje Hurce nietylko za jego wojenne czyny, ale i za pożyteczną dla państwa działalność na stanowisku jeneralnego gubernatora, zwrot w opinii rosyjskiej stał się zupełny. W lipcu roku 1863-go wicekanclerz rosyjski książę Gorczaków stworzył nowe dla Rosyan pojęcie: w pamiętnej swej nocie do trzech mocarstw rzekł, iż w kwestyi polskiej rząd musi uwzględniać „godność i uczucia narodu rosyjskiego“. W imię tego uwzględnienia trwał przez lat 30 system bezwzględnego tępienia. Otóż i dzisiaj opinia rosyjska domaga się pamięci o tej godności i uczuciach narodu, a *Nowoje Wremia* tak to formułuje: „Hr. Szuwałow jest zdecydowanym stronnikiem polityki narodowej rosyjskiej, czego dowiódł na posterunku ambasadora w Berlinie, gdzie wiernie wyrażał narodową myśl zmarłego Aleksandra III. Zresztą samowiedza narodowa wśród Rosyan o tyle wzrosła, że powrót do kosmopolitycznego biurokratyzmu hrabiego Berga, albo do jawnie polonofilskich tendencyi Albedyńskiego — jest zgoła niemożliwy. Wprawdzie każde narzędzie, długo używane, cokolwiek się tępi i wtedy trzeba go zastąpić innem; więc też i hr. Szuwałow może się trzymać trochę innej metody, niż marszałek Hurko; lecz jedno pewna, że nie będą porobione próby z fołgowaniem polskiemu separatyzmowi. Cała administracya, sąd, szkoły, powinny pozostać rosyjskiemi i zarządzanemi przez Rosyan. Nasz język musi być coraz bardziej rozpowszechniany; nasz żywioł powinien wzmacniać się, wzrastać i zdobyć wszystkie cywilizacyjne potrzeby, więc stałe teatra rosyjskie, liczne bractwa cerkiewne, wszelkiego rodzaju stowarzyszenia, wreszcie — prywatną prasę rosyjską. Tym sposobem zduszony będzie polski separatyzm, nastąpi spokojny i cywilizacyjny rozwój naszych kresów i ostatecznie zniknie polska kwestya w Rosyi“.

Tego — zdaniem *Nowego Wremenia* — żąda godność i uczucie narodowe rosyjskie od hr. Szuwałowa, to powinno być jego celem. Krótko mówiąc, cel ten określa się doskonale jednem zdaniem: „Hurko tępił, lecz się stępił, Szuwałow jest nowym instrumentem, więc powinien wytępić“. *Moskiewskie Wiedomosti* poprzestają na jednej uwadze tej treści: „Carski reskrypt na imię marszałka Hurki położył kres wszelkim wątpliwościom i szukaniom po ciemku. Hrabia Szuwałow dowie się z tego reskryptu czego się trzymać“.

Taki tedy rezultat dała dyskusya prasy rosyjskiej o „kwestyi polskiej“. Mieliśmy więc racyą, mówiąc od początku tej drukowanej debaty, że ona jest niczem innem, jeno pustą paplaniną, tematem do zapełniania gazeciarskiej bibuły — i że chorągiewka, zwana prasą rosyjską, tak się w każdej chwili obróci, jak dmuchnie wiatr ze sfer rządowych. Jeden reskrypt na imię Hurki zmiótł wszystkie myśli o pojednaniu, jak lekki powiew powietrza miecie plewy.

A jednak ten reskrypt, jak znaczyć coś może, tak również może nic nie znaczyć. Jest to podziękowanie wiernemu słudze ojca za gorliwą pracę. Tak samo Aleksander III uczcił Albedyńskiego, którego dziś Rosyanie nazywają polonofilem, i po którym nastąpił Hurko. Który z nich rządził zupełnie podług myśli Aleksandra III? Oczywiście drugi, bo cieszył się ogromnem zaufaniem cara, rządu i narodu, co podnosi prasa rosyjska, a zatem Albedyński, człowiek względny, nie kat, ani brutal, „polonofil“ — jak go Rosyanie nazywają — nie był po myśli Aleksandra III, rządu i narodu. A jednak kiedy on już był chory i miał odejść, wprawdzie inaczej, niż Hurko, ale zawsze odejść na zawsze, car, upatrzywszy już na jego miejsce zupełnie innego „diejatiela“, aniżeli on, wystosował jednak do niego taki reskrypt: „Spełniając ważne obowiązki jeneralnego gubernatora, zachowałeś pan zawsze nietykalność prawa, otaczając swą opieką zdobycze pracy i wszystko, co zmierzało do powiększenia dobrobytu wszystkich warstw ludności przez pana rządzonej, przyczyniając się w ten sposób do urzeczywistnienia planów naszych, których niezmiennym celem jest dobro wszystkich naszych wiernych poddanych i ich między sobą zbliżenie.“

Gdyby nie było mnóstwa innych dowodów historycznych, to ten jeden powinien wystarczyć za argument, że łaskawe reskrypta, udzielane ustępującym dygnitarzom, nie mogą służyć za wskazówkę przyszłości. Nawet w państwach konstytucyjnych ministrowie, ustępujący w skutek potrzeby innego kierunku, otrzymują od monarchy takie reskrypta, a tem bardziej tak być musi w państwach biurokratycznych, gdzie panuje zasada, że władza nigdy się nie myli, nigdy nie zbacza. Dla nas zawsze decydującym pozostanie fakt, że Aleksander III nie chciał uwolnić bardzo chorego Hurki, a Mikołaj II uwolnił go już prawie ozdrowiałego, i to również uważamy za znaczące, że Hurko uznał potrzebę podania się do dymisyi zaraz po zmianie panującego, co uczynił wbrew woli, jak to wiadomo z jego przemówienia do jeneralicyi. Podnosimy to z tem większem przekonaniem, żeśmy się od początku nie spodziewali ani wielkich, ani prędkich zmian. I dzisiaj, kiedy fala optymizmu odpłynęła, aby pusty brzeg pozostawić fali pesymizmu, wyrażamy po dawnemu przekonanie, że hr. Szuwałow zrobi, co będzie można, w granicach państwowego interesu Rosyi. Będzie to oczywiście bardzo małem, — bardzo drobną ulgą w prześladowaniu religijnem, jakoteż zapewne drobnemi ustępstwami w prześladowaniu policyjnem — robiąc to, będzie miał ciągle na oku nie tyle rzeczywisty państwowy interes Rosyi, ile szowinistyczne pojęcia biurokratów i dziennikarzy rosyjskich o tym interesie, a jeżeli już pod jakim względem rządy jego będą się stanowczo różniły od rządów Hurki, to tylko pod tym jedynym, że będzie to Europejczyk, wysoce cywilizowany i dystyngowany, ożeniony z osobą, o której przymiotach serca dobrze mówią, a nie dziki żołdak, niezły podobno w gruncie, ale ożeniony z jakąś francuską awanturnicą, która chcąc mścić się za to, że arystokracya polska nie chciała jej do swego grona przyjąć, podsycała męża do prześladowania polskiego narodu.

Trzeci kanclerz niemiecki, książę Hohenlohe niebawem ustąpi, — oto najświeższa nowina z Niemiec. Ustąpi, bo pod tym warunkiem zgodził się objąć urząd kanclerski, przyjąć na swe barki wszystkie przykrości, połączone z przeprowadzeniem ustaw antisocyalistycznych i ustaw o nowych podatkach, a potem pole państwowe, wykarczowane i oczyszczone, zostawić swemu następcy. Spełnia on tedy całopalenie własne na ołtarzu państwowym i tak zakończy swą długą karyerę. Ustąpi jeszcze i dlatego, że młodej siły trzeba, aby żagle państwowe rozpiąć pod wiatr, który popędzi okręt niemiecki do błogosławionej krainy bismarkowskiego systemu. Tak zapewniają berlińskie dzienniki i tem tłómaczą wyjątkową uprzejmość cesarza Wilhelma dla „marsowego“ jenerała hr. Waldersee'go: zszedł z tronu i własnemi rękami włożył jenerałowi wstęgę Czarnego Orła, — a stało się to w przytomności całego dworu i wszystkich komendantów armii. Za szczególne upodobanie sobie Bismarka poszedł przed czterema laty hr. Waldersee z szefa sztabu głównego na komendanta korpusu w Altonie; teraz za to samo upodobanie może otrzyma pierwszą godność w cesarstwie. Tak to się dziwnie plecie na politycznym świecie. Ale jest jeszcze inny kandydat do kanclerstwa, inna „silna ręka“ — hr. Odo Eulenburg, ów prezes pruskiego gabinetu, usunięty o cztery dni przed Caprivim. Pogłoski głoszą, że cesarz rozstał się z nim z żalem i tylko dlatego, że musiał uszanować drażliwość Capriviego, który jako starszy od Eulenburga urzędnik, zawsze miał racyą, chociaż jej nie miał. Przez usunięcie Eulenburga uczyniono zadość zasadzie hierarchicznej, a teraz można już znowu go powołać na stanowisko jeszcze wyższe i tak z kolei uszanować interes państwowy. A zatem — Eulenburg lub Waldersee, obaj bismarkowcy, obaj ludzie silnej ręki i ulubieńcy junkrów, a dość sympatyczni dla liberałów. Pozostaje tylko wytłómaczyć, jaka potrzeba zniewala znowu szukać innego kanclerza.

Otóż utrzymują berlińskie dzienniki, że powrót do starego kursu, do bismarkowskiego, już był uznany za konieczny w chwili ustąpienia Capriviego, ale wówczas żaden mąż stanu w sile wieku, a więc z nadzieją długiej karyery, nie chciał objąć tego urzędu, bo rozumiał, że przeprowadzenie ustawy antisocyalistycznej i reforma podatków zużyją go, uczynią osobą niepopularną, może znienawidzoną; wolał tedy przyjść do gotowego i rządzić długo temi narzędziami, które wyrobi poprzednik. Znalazł się taki ofiarny dostojnik — ks. Hohenlohe, który już jako namiestnik alzacko-lotaryński zamierzał rychło odejść na spoczynek; on zgodził się wyprostować ścieżkę swemu następcy i dlatego niebawem ustąpi. Zaś „silna ręka“ i stary kurs potrzebne są dlatego, że więzadła cesarstwa rozluźniać się poczynają. Socyalizm, zagrożony w swym rozwoju, obrał nowe kierunki, uderzył mianowicie w dźwięczną strunę separatyzmu, albo — jak go w Niemczech nazywają — partykularyzmu i tu natrafił na grunt przygotowany żywą niechęcią do Prusaków, którym Szwabi, Bawarczycy, Sasi i Westfalczycy zarzucają, iż nie rozumieją Niemiec, lecz zawsze i wszędzie widzą tylko wielkie Prusy. Ów partykularyzm sam przez się nie jest straszny, lecz jeśli zaopiekują się nim socyaliści, może się stać niebezpiecznym. Zapobiedz temu, jeżeli nie trwale, to przynajmniej na czas pewien, można powrotem do bismarkowstwa, jako do systemu związanego z imieniem półbożka Germanów. Taki system będzie protegowany przez samego pustelnika friedrichsruheńskiego i całą falangę jego organów, a to już będzie nielada zyskiem. Więc kiedy nie można i nie wypada prosić Bismarka, aby sam wrócił, to trzeba wezwać jednego z wiernych tłómaczy jego systemu i zarazem jego wielbiciela. Z takich najwybitniejsi są — Waldersee i Eulenburg.

Tak dowodzą pisma niemieckie liberalnego i junkierskiego kierunku. Myśmy tylko powtórzyli ich rozumowanie. A że na tem polu liberalizm pogodził się z junkierstwem, to nic dziwnego, bo wprawdzie bismarkowstwo przyjęło dziś do swego programu życzenia agrarczyków, niemiłe liberałom, ale za to srodze się zawzięło na antysemityzm i partykularyzm — na te prądy niezmiernie wstrętne liberałom, bo przedewszystkiem dla nich najbardziej szkodliwe.

Piszą nam z Wiednia 6 stycznia:

Lwowska depesza *N. fr. Presse* wymienia następujących Polaków, którzy będą powołani do Izby panów: dr. Marchwickiego, prezydenta Simonowicza, Dembowskiego, hr. Szczęsnego Koziebrodzkiego i hr. Stefana Zamoyskiego. Jednakże hr. Stefan Zamoyski, właściciel majoratu, zięć ś. p. Adama Potockiego, jest już członkiem Izby panów od 1 listopada r. 1892. W każdym razie powinniśmy otrzymać co najmniej 5 krzeseł w Izbie panów, zwłaszcza, że w ostatnich latach straciliśmy ich więcej, a w ogóle od r. 1891 nie uwzględniano należycie Galicyi przy nominacyach członków Izby panów. I tak 1 kwietnia 1891, krótko przed otwarciem nowej kadencyi Rady państwa, Cesarz na propozycyę hr. Taaffego mianował naraz 18 parów; pomiędzy tymi znajdowało się tylko 2 Polaków: hr. St. Badeni i profesor dr. Fr. Zoll. Pomiędzy mianowanymi 1 listopada 1892 roku 21 nowymi parami, znajdowało się tylko 3 Polaków: Gorayski, Zygmunt Romaszkan (zmarły w r. 1893) i hr. Stefan Zamoyski. Nadto w r. 1893 otrzymał godność członka Izby b. marszałek Smolka. W każdym razie owe nominacye 1891 i 1892 r. nie uwzględniały należycie Galicyi. Wtedy nie było stałej większości parlamentarnej, opierającej się na Kole polskiem, ale odkąd powstała koalicya równorzędnych 3 stronnictw, podobne upośledzenie Polaków przy „pairschubie“ byłoby z pewnością politycznem wykolejeniem.

Po śmierci carowej Anny w 1740 r. ks. Biron zaczął rządzić w imieniu małoletniego Iwana. Za pomocą gwardyi marszałek polny Münnich uwięził „regenta“ już 20 listopada tegoż roku i wysłał go na Sybir. W grudniu r. 1741 Elżbieta przemocą tron opanowała. Z kolei Münnich jechał na wschód. Na przedmieściu Kazania spotkał się z wracającym Bironem. Spojrzeli na siebie i rozjechali się, nie rzekłszy słowa. Później Biron znowu dostał się na Sybir. Za wstąpieniem na tron Piotra III w 1762 r., obaj powrócili do Petersburga. Gdy dawni spółzawodnicy po 20 latach po raz pierwszy zjawili się razem w pałacu carskim, Piotr III zawołał: „Witam dwóch starych przyjaciół, napijmy się za nasze zdrowie“, i kazawszy przynieść trzy szklanki, wychylił swoją za zdrowie gości. W tej chwili car został odwołany. Münnich i Biron, spoglądając na miejsce, na którem stał car, stali z szklanką w ręce, nie mówiąc słowa. Gdy Piotr nie wracał, spojrzeli na siebie zimno, postawili równocześnie szklanki na stół i odwrócili się od siebie.

Podobne zajścia z ponurej kroniki rosyjskich przewrotów pałacowych przychodzą nam na myśl, gdy czytamy, że tego samego dnia Dragan Cankow, wracając z wygnania, był witany w Sofii przez liczne tłumy, a Stambułow został uwięziony pod zarzutem morderstwa. Wprawdzie ta ostatnia wieść nie potwierdziła się zupełnie. Ale dosyć na tem, że piśmidłom, służącym partyi Cankowa, wolno oczerniać Stambułowa o zabójstwo kolegi, ministra skarbu Belczewa. Trudno rozstrzygnąć, czy ta insynuacya jest więcej głupią, czy przewrotną. Że człowiek o pięciu zmysłach ani na chwilę nie przypisze jej najmniejszej autentyczności, rozumie się samo przez się. Ale, powtarzamy, sam fakt, że podobne oszczerstwo mogło się pojawić w Sofii, dostatecznie świadczy o fatalnym politycznym moralnym rozstroju w Bułgaryi.

Ostatecznie Münnich, jak Biron byli awanturnikami, zarówno winnymi. Ale pomiędzy Cankowem, wracającym w tryumfie, a Stambułowem, poniżanym systematycznie według recepty: *„av'tir, puis démolir“*, zachodzi ta wielka różnica, że pierwszy w r. 1886 wziął udział w ohydnym spisku i zamachu na niepodległość ojczyzny na korzyść Rosyi, gdy drugi, Stambułow, wtedy ocalił samodzielność Bułgaryi i przez 7 lat zapewnił jej spokój i bezpieczeństwo. Jeżeli, *caeteris paribus*, minister upada, a naczelnik opozycyi staje się ministrem, można w tem dopatrywać się prawidłowej funkcyi machiny konstytucyjnej. Ale jeżeli tłum z zapałem wita powracającego oczywistego zdrajcę kraju, a równocześnie woła: ukrzyżujcie tego, który w najtrudniejszej chwili ocalił ojczyznę — to taki naród jest bardzo chory.

Ten niespodziany zwrot w życiu publicznem Bułgarów, których otaczaliśmy tak gorącą sympatyą, odsłania zupełną niedojrzałość pospólstwa do normalnego życia publicznego, a przekraczającą wszelkie granice zawziętość stronniczą polityków tamtejszych, a pono także pewne niewłaściwości w zamku, a przynajmniej... w buduarze książęcym!

Korespondencye.

Wiedeń 1 stycznia.

Z teatrów.

II.

Nigdy nie mogłem pojąć zazdrości, z jaką pisze się i mówi po mniejszych nieco miastach o wielkich stolicach, mających po kilkanaście scen, tuziny sal koncertowych, wystawy tysięcy nowych obrazów. W sztuce nie o ilość idzie, ale o jakość. Cóż bowiem za pożytek, iż najmodniejszy motyw komedyo, czy dramatopisarski, np. że żona niewierna nie chce pozwolić na małżeństwo dziecka swego z dzieckiem swego kochanka, usłyszymy 10 razy w coraz głupszych waryacyach? Jakie odniesiemy wrażenie, patrząc na zielone niebo w obrazach symbolistów i na niebieską wodę w każdym sezonie na kilkudziesięciu okazach? Jakie obudzi w nas uczucie wirtuoz, który korzystając np. z nowo wynalezionych i mających się stać niezadługo przedmiotem patentu przyrządów do wyciągania i wyginania palców (profesora Schmidta w konserwatoryum) odegra nam Liszta najtrudniejsze rapsodye z dodatkiem figur zawiłych? Sam techniczny materyał w sztuce mało waży, a na pracę ducha, na istną twórczość zdobywa się tylko prawdziwy talent. Otóż wielkie miasta stają się grobami tych talentów. Im więcej teatrów, sal koncertowych, salonów dla różnych secesyonistów, tem więcej miernoty, tem niższy poziom wymagań publiczności od artystów z jednej, a artystów od siebie samych z drugiej strony. Może być, że nowych teatrów dzisiejszych nie wolno mierzyć miarą Lessinga lub Schillera, że publiczności potrzeba zabawy, a nie sztuki poważnej, że lepszy dla niej w każdym razie teatr, niż „café chantant“. W takim razie jednak scena powinnaby być dostępną i uboższym warstwom, a nie zamożnej jedynie kilkotysięcznej klasie, która pielgrzymuje na pół ziewając, na pół interesując się — toaletami w lożach — od jednej nowośc

---

1)

KTO ON?

I.

Mogę chyba powiedzieć o sobie bez obawy przesady, że kobiety i ich charakter znam gruntownie. Prawie tak gruntownie, jak asyryjską i meksykańską archeologię. Od czasu jak zajmuję się archeologią, studyuję przedewszystkiem kobietę starożytną, o niej tylko piszę. Pomijam wiele artykułów, broszur i dzieł jednostronnych, które dla samej ciasnoty ram do naukowej powagi nie mogą rościć prawa; wspomnę jednak moją „Boginię Astarte i jej znaczenie w mitologii porównawczej“ (4 tomy in 4-o u Cotty w Stuttgardzie“); „Typy niewieście w sztuce i mitologii Azteków“ (3 tomy in 8-o u Brockhausa w Lipsku); „Niewiastę u Fenicyan i dawnych Meksykanów“ (dotąd wyszło 8 tomów in 12-o u Herdera we Fryburgu), wreszcie „Wspólne znamiona kultury aryjskiej z cywilizacyą azteków i inkasów wykazane na podstawie słowiańskich i amerykańskich wykopalisk, a specyalnie ornamentów kruszcowych kobiecego stroju“, (Rozprawy krakowskiej Akad. Umiejętn., tomy CCLXXXVII, CCLXXXVIII, CCLXXXIX). Znam więc kobiety, to nie ulega kwestyi, między kobietami zaś znam oczywiście najlepiej tę, którą znam najbliżej, znam, muszę znać jak nikt kuzynkę Wandę. A przecież zdaje mi się czasem, jakbym jej nie znał wcale...

I datuje to od tak dawna...

W dzieciństwie, co prawda, rozumieliśmy się doskonale. Położenie nasze tak było podobne, a warunki życia tak nas zbliżały! Mnie odumarli rodzice w kolebce — jej została matka tylko, chora od kiedy pamiętam i niezdolna wiele zająć się jedynaczką, tem mniej zaś starszym o parę lat siostrzeńcem. Ale ogromny nasz pałac w Boratyczach był taki pusty, taki smutny, tak pełen wspomnień i strachów, a ja na łasce guwernerów, bon i służby, zdala od dojeżdżającego tylko stryja opiekuna, starego kawalera — taki byłem opuszczony i biedny! Więc ciotka Aniela wzięła mnie do siebie z całą gromadą nauczycieli i służby. Wyporządzono jako tako lewe skrzydło szydłowieckiego dworu dla naszego wyłącznego użytku i pozostał dla mnie na zawsze ten szereg wielkich pokoi z niedomykającemi się oknami i dymiącymi kominami, siedliskiem nudnych ludzi i nudniejszej jeszcze matematyki. Tam spałem, jadłem, uczyłem się, wegetowałem. Na prawem skrzydle dworu żyłem.

Było tam parę pokoików niewielkich, zapełnionych starymi meblami rococo i mnóstwem fraszek, cacek, porcelanowych gracików z saskich czasów. Najdalej ztąd było do ciemnego zawsze pokoju ciotki, do którego nam dzieciom rzadko wolno było się zbliżać i koło którego wszystko cichło i chodziło na palcach. Drzwi parapetowe prowadziły na ogród, nie takie paradne, ogromne jak z błękitnego salonu na terasę, ale malutkie, szklane, z mnóstwem kolorowych szybek, w sam raz dla nas dzieciaków. Angielka drzemała w kącie nad Tennysonem, Francuz wymknął się jak zwykle na karty i bilard do rządzcy, a my z Wandzią chowaliśmy się jedno przed drugiem za mahoniowe serwantki i japońskie ekrany, albo cicho, na palcach, wymykaliśmy się do parku.

Dziś nie wydaje mi się on tak wielki — ot, zwyczajny ogród wiejski na Podolu. U mnie w Boratyczach większy dwa razy. Ale wówczas! Wówczas my z Wandzią wyobrażaliśmy sobie wprost, że to las dziewiczy amerykański. Strumień stanowiący w głębi jego granicę od sąsiedniego lasu, zdawał się nam jakąś Ultima Thule, do której w najdalszych wycieczkach nie śmieliśmy dotrzeć, a las wyobraźnia nasza zaludniała niedźwiedziami i tygrysami, choć było w nim tylko trochę zajęcy i saren. Gdyby zaś który z wodzów czerwonoskórych, naszych dobrych znajomych z Coopera i Mayne-Reada, wyskoczył ku nam naraz z zarośli, potrząsając piórami na głowie i tomahawkiem w ręku, bylibyśmy w strachu zapewne, ale nie zdziwiłoby nas to ani trochę.

Raz pamiętam goniliśmy się w gęstwinie, po zarosłych ścieżkach (park był zaniedbany całkiem za życia ciotki Anieli; dopiero później Wandzia go wyporządziła) i zdało się nam, żeśmy zabłądzili. Naprawdę przez drzewa widać było lśniącą w słońcu sadzawkę, a za nią tuż blisko stał dwór — ale nam tak miło było bać się i wyobrażać sobie uczucia zbłąkanych nad brzegiem Rio-Grande lub u stóp Gór Skalistych. Przytuliliśmy się do siebie obok ogromnego kasztana i staliśmy przez chwilę drżąc, z otwartemi szeroko oczyma, wyglądając czegoś nieznanego.

— Słuchaj, Tadziu, a jak my nie znajdziemy domów, spytała Wandzia, wpatrując mi się w oczy i przyciskając silniej do mnie.

— Zbudujemy sobie chatkę i będziemy żyli jak Robinson z Piętaszkiem, odparłem po chwili namysłu. Ja będę chodził na myśliwskie wyprawy, będę przynosił zwierzynę i zabijał niedźwiedzie, a ty tymczasem nazbierasz dużo, dużo poziomek. A potem przyjdą dzicy.

— O, Tadziu, nie mów, ja się boję.

— Nie bój się. Ja ich rozpędzę. Będziemy się bronić, jednych zabiję, innych wezmę w niewolę.

— Ale oni tobie coś zrobią, gotowi cię ranić.

Trzęsła się naprawdę — w oczach kręciły się łzy.

— A choćby ranili? To cóż? A kapitana Harry nie ranili Komansze?

Chwyciła mnie rączkami za szyję i rozpłakała się na dobre.

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę, żeby cię ranili. Ciebie to będzie boleć! Niech lepiej mnie ranią!

— Ciebie? Ale ty jesteś dziewczynka, ty nie możesz mieszać się do walki.

— To ty także nie mieszaj się i nie daj się zranić.

— Ja? ja na to jestem mężczyzna!

Nie graliśmy wcale komedyi i coraz bardziej przejmowaliśmy się naszą rolą. Wandzia łkała głośno, a ja mimo rycerskiego animuszu, miałem ochotę pójść w jej ślady. Naraz rozległy się koło nas piskliwe krzyki. Miss Thompson czerwona, zdyszana wpadła do naszej kryjówki.

— Gdzież jesteście! Co za nieznośne dzieciaki! Szukam was od kwadransa po całym parku. Hrabia August przyjechał i chce was widzieć.

Był to stryj opiekun.

Wracając, Angielka wylewała na nas reszty złego humoru.

— I nie wstyd to panience dobrze wychowanej samej z młodym chłopakiem po parku biegać i kryć się przed starszymi?

Wandzia na te słowa poczerwieniała jak piwonia.

Kiedy na drugi dzień wołałem ją do parku, spuściła oczy i powiedziała, że bez miss Thompson nie pójdzie, bo to nieładnie. I już nasze amerykańskie przygody nie powtórzyły się więcej.

Chodziliśmy za to na spacery z Angielką, a ponieważ to była jesień, czas owoców, robiliśmy długie stacye w owocowym sadzie. Miss Thompson lubiła owoce i zjadała ich tak ogromną ilość, że dziś jeszcze myśląc o tem, czuję jak mi się robi ciężko na żołądku. Zbieraliśmy naprzód dla niej całą piramidę jabłek i gruszek, potem myśleliśmy o sobie.

Raz pamiętam otrząsaliśmy renklody. Jedna była ogromna, na którą razem rzuciliśmy się oboje. Wandzia schwyciła ją pierwsza.

— Nie dam, nie dam, — krzyczała, śmiejąc się przekornie i trzymała śliwkę przy ustach, udając, że ją chce ugryść. — Poproś pięknie, to oddam.

— Nie będę prosić, sam wezmę — krzyknąłem i próbowałem ustami chwycić śliwkę. Ale ręka usunęła się i twarze nasze się spotkały. I naraz, nie wiem, jak to się stało, usta moje zbliżyły się do jej twarzy.

Ona cofnęła się nagle, zaczerwieniona, i zakryła twarzyczkę rękami.

— Tadziu, nie rób tego, — szepnęła; to nieładnie.

Wtedy jej po raz pierwszy nie zrozumiałem.

Co dzień rano i wieczór całowaliśmy się przy ciotce i guwernantkach — i to nie było nieładnie. Dla czegoż miało być teraz?

II.

Niedługo potem jakoś rozstaliśmy się. Mnie oddano do konwiktu, a Wandzię zabrali krewni z Szydłowca po śmierci ciotki Anieli. Pisywaliśmy do siebie długie i serdeczne listy, to jest właściwie pisywała je Wandzia regularnie, ja odpowiadałem czasami, kiedy miałem właśnie czas i ochotę.

Spotkaliśmy się po kilku latach u babci, podkomorzyny. Zaledwie poznałem kuzynkę. Dorastała już, wyglądała prawie jak panna na wydaniu. Ja choć starszy, wstyd powiedzieć, byłem przy niej niezgrabnym, szkolnym żakiem. Czułem to — i stałem onieśmielony, czerwony jak rak, myśląc o tem, jaki nieszczęśliwy traf przyczepił człowiekowi parę rąk, z któremi niewiadomo co począć. Ale ona przybiegła do mnie po dawnemu i zarzuciła mi ręce na około szyi.

— Tadziu mój, Tadziu złoty, braciszku mój jedyny!

Śmiała się i płakała. Takie już ma żywe i wrażliwe usposobienie. A śliczną była już podobno wtedy, jak teraz. Tak przynajmniej słyszałem, bo ja z powodu mego bezprzykładnie krótkiego wzroku nie bardzo mogłem i mogę o tem sądzić. Zresztą nigdy mnie to nie interesowało.

Jan Łada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

do drugiej. W takim razie musiałaby też treść utworów, które z góry zrzekają się artystycznej wartości, być przynajmniej prawdziwie etyczną i moralną. Dla znawców sztuki Afrodyta, Apollo, Laokoon i Minotaur, dla szerokiej publiczności — portrety familijne. Kto jednak zamiast sztuki, daje nagość i dekoltowanie się mieni powabem estetycznym, ten chyba coś innego zupełnie ma na celu, jak wychowanie społeczeństwa, czy stręczenie mu zdrowych rozrywek.

Cóż miało za cel naprzykład wystawienie takiej „Ottylii“ w teatrze Rajmunda? Autor dramatu tego Fryderyk Gustaw Triesch (występujący pod pseudonimem: Paweł Richter) dostał za tę ramotę nagrodę na hamburskim konkursie. Sąd tam składali sami członkowie różnych teatrów, mierzący wartość utworu wedle scenicznych efektów. Na efektach też dziełu nie brak, ale cały pomysł dramatu przejął autor od Dumasa i jego naśladowców niemieckich: Hopfena (autora „Helgi“) i Vossa (autora „Malaryi“), tak samo jak większą część swego pseudonimu wziął od sławnego humorysty niemieckiego Jana Pawła Richtera. O cóż chodzi? Autor stawia na ostrzu zawikłania scenicznego stary problemat: co też pocznie żona, która się mężowi sprzeniewierzyła i której syn kocha się w córce jej kochanka (dosłownie jak w „Malaryi“)? Bohaterką, która się znajduje w tem dramatycznem położeniu, jest pani Ottylia Gregorius, żona profesora medycyny i matka Norberta. Zwiódł ją kompozytor Graefendorf, który zapewnie czytał Kreutzerowską sonatę Tołstoja i dowiedział się z niej, że kobieta muzyce oprzeć się nie może. Nie przeszkadza mu oczywiście ten haniebny postępek być przyjacielem profesora, zwłaszcza, że uczony lekarz namiętnym też jest miłośnikiem muzyki. Wszystko byłoby się dobrze skończyło, bo Ottylia muzyka nie kocha, i od wielu lat robi sobie wyrzuty, że dała się obłąkać chwilowej namiętności. Na nieszczęście syn jej Norbert kocha się w Pauli, córce Gräffendorfa. Mąż jej popiera związek, ona zwalcza go wszelkiemi siłami (zupełnie jak w „Malaryi“), Leo Malchow, młody porucznik, który też starał się o Paulę i dostał kosza, mści się w rozmowie z Norbertem aluzyami o stosunku nieprawym jego matki. Norbert posiada daleko większą zdolność odgadywania, niż autor i od razu wie, jak się rzecz miała (zupełnie jak w „Malaryi“).

Matka zaś spotkawszy syna z niemniejszą bystrością odgaduje, że wie on wszystko i na wpół nieprzytomna upada na sofę, poczem autor pozwolił synowi także omdleć. (Reżyser postarał się w tym celu o drugą kanapę na scenie). Ojciec lekarz przychodzi ratować syna i z kilku urwanych słów omdlałego dowiaduje się o niewierności swej żony. Kto był kochankiem Ottylii, tego nie wie i przyzywa nawet Gräffendorfa, wiernego przyjaciela, aby przed nim się wypłakać. W scenie z Gräffendorfem przychodzi do wyjaśnienia stosunku; Ottylia chce się jeszcze przed końcem dramatu otruć, ale ponieważ to byłby koniec zbyt banalny i cuchnący tragedyą, mąż lekarz w sam czas ratuje ją od takiego zbłaźnienia się przed życzliwą publicznością. Profesor Gregorius zachęca ją owszem trochę nudnem opowiadaniem, które dzieje jej własne przedstawia, do dalszego życia i uszlachetniania się. Paula i Norbert pobrali się i za lat kilka wrócą zapewnie na scenę jako bohaterowie premiowanej jakiejś komedyjki — z dziedziny niewiary małżeńskiej.

O innych nowościach Rajmunda nie ma i co wspominać. Jeszcze można mówić o sztukach nagrodzonych na konkursach rozmaitych, ale niepodobna rozbierać co dzień zjawiających się i znikających błahych fars. Utwór Wildenbrucha „Nowe przykazanie“ jest tylko w Wiedniu nowym; w Berlinie grano go już 150 razy. Zdanie o nim było już ustalone i jak zawsze u Wildenbrucha, faworyta pewnych kół berlińskich i innych niemieckich, pragnących wielkości Prus — nad zasługę pochlebne.

Rozumiem ten entuzyazm Berlińczyków dla poety, który śpiewał zwycięstwa z r. 1870 71, w „Karolingach“ i „Haroldzie“, ubóstwia niemal despotyę germańskich władców, w utworze „Die Quitzows“ zachwala bratobójstwo w obronie idei prusko-brandenburskich elektorów, w dziele „Der neue Herr“ najnowszy sławi kurs i t. d.

W Wiedniu jednak ani „Dzierlatka“ (Haubenlerche) ze swojem sentymentalno-wyrafinowanem przeciwstawieniem nędzy robotników i rozpusty kapitalistów, ani tem mniej ostatni utwór niby historyczny: „Nowe przykazanie“ (Das neue Gebot) żadnego nie zrobiły wrażenia. Z politycznej grzeczności otwiera się podwoje teatrów nad Dunajem nadwornemu pruskiemu dramaturgowi, z innych niemniej błahych pobudek podkreśla krytyka tutejsza piękne ustępy w dziełach tego autora. Publiczność pod suggestyą kilkunastu zgodnych z sobą w sztuce chwalenia recenzentów idzie do teatru i zachwyca się wskazanemi scenami. Jedna z takich scen w „Nowem przykazaniu“ jest ostatnia drugiego aktu. Cesarz Henryk IV uciekł z Goslaru przed rokoszem mieszczan i możnych saskich i zostawił bez opieki na zamku chorą żonę. Rządzca zamku Volkerode Bertold de Meersburg, wierny cesarzowi, prosi żonę księdza Wimara Knechta, Martę i córkę Gertrudę o pomoc dla cesarzowej. Gertruda idzie na zamek. Tymczasem mnich z Magdeburgu Bruno rzuca klątwę na cesarza w imieniu Papieża. Wimar Knecht nie może dalej bronić rodziny wyklętego, ale w chwili, kiedy córka jego i kilku wiernych przynosi chorą żonę cesarza, litością zdjęty daje jej w kościele schronienie przed nacierającymi wrogami, aż nadciągają hufce z Wormacyi na jej ratunek. Otóż o tę scenę w kościele i przed kościołem chodzi! Bertold następnie pojmuje Gertrudę za żonę. Wimar Knecht uciekać musi i błąka się po lesie; żona mu umiera, jednak doczekał się wreszcie zwycięstwa cesarza i powrotu córki i jej męża z wojskiem zwycięskiem. Ten rozłamany na dwoje dramat czteroaktowy nie jest ani historycznym ani psychologicznym, ale jest w rzeczy samej bardzo efektowny. Nie wiemy kto jest właściwie bohaterem dzieła, czy Wimar Knecht, kłócący się z sobą samym i nie wiedzący, jak rozsądzić spór litości dla chorej, wierności dla cesarza i posłuszeństwa wobec kościoła, czy Gertruda i kochający ją Meersburg, czy cesarz, który się na scenie nie pokazuje, ale o którego prawa walczą inni. Historyczny dramat może zmienić fakta, może nowe postacie wprowadzić, ale nie może sfałszować ducha epoki — jak to jest w zwyczaju u Wildenbrucha począwszy od pierwszego dzieła historycznego, które napisał, aż do dzisiejszego. Można nawet prusko-protestanckie idee wszczepiać na suchych płonkach cezaryzmu absolutnego z jedenastego wieku, można nawet swej nieuzasadnionej nienawiści do papiestwa dać ujście w dramacie, lub powieści, ale potrzeba na to innego zestawienia faktów, innej zdolności malowania ludzi.

Śmiesznem wprost dla słuchacza, lub czytelnika, znającego historyę, staje się takie wysławianie cesarza Henryka IV jako bohatera. Ten cesarz nietylko chciał możnych podeptać, ale i lud i mieszczan ciemiężył. Nie Rzym wydał mu wojnę, ale ludność miejska w Saksonii, która rozpustnego i wyuzdanego jego życia dalej znosić nie chciała. A historya tego monarchy nie skończyła się na walce z papieztwem; z własnymi synami staczał potem boje, własny też syn a następny cesarz Henryk V uwięził go — i w nędzy i rozpaczy umarł uciekłszy z więzienia ten reprezentant nie majestatu cesarskiego, ale gwałtów i samowoli z lisią związanej przebiegłością. Kto w tej walce potęgi czysto duchowej Rzymu i potęgi brutalnego gwałtu niemieckiego cesarstwa miał podówczas słuszność, o tem zdanie dawno już sobie wyrobili nieuprzedzeni historycy, a zdania takiego nie sfałszuje żaden pruski dramat najlepszemi nawet scenami.

Inny, również z Berlina sprowadzony dramat wystawił po raz pierwszy równocześnie z berlińską premierą teatr nadworny, mianowicie Sudermana „Schmetterlingsschlacht“ (Walka motyli). *Przegląd* w korespondencyi berlińskiej przyniósł już pewne daty tyczące się tego dzieła; nie będę więc jego treści opowiadał. Kilka tylko słów poświęcić mi wypada charakterystyce autora i jego twórczości. Sudermann chciałby być moralnym malarzem niemoralności. O tę sprzeczność rozbijają się wszelkie jego usiłowania. Jego „Gniazdo rodzinne“ i „Koniec Sodomy“ są tak drastyczne w szczegółach, że myśl zasadnicza utworu gubi się i wyradza w sprzeczne wprost z zamiarami autora konsekwencye. Chęć kreślenia zepsucia prowadzi Sudermanna na manowce. Jego postacie nie mają prawdziwej żądzy nikczemności, same nieraz nie wiedząc o otchłaniach swej niskości, popisują się naiwnością zwyrodnienia. Tak przedstawia się nam też wdowa po inspektorze Hergentheim w „Walce motyli“. A i te postacie, które świadome są swoich błędów i grzechów, jak n. p. córka tej wdowy (popychającej dzieci do spekulacyi na męża *a tout prix* i udzielającej im w bezczelny sposób lekcyi kokieteryi), Elsa, która zdradza swego narzeczonego z Kesslerem, ohydnym commis voyageurem, lub jak właśnie ten Kessler stręczący swoję kochankę synowi swego szefa za żonę... i te postacie nie mają siły przekonywującej. Zdaje się, że to są manekiny jakiejś wielkiej tragikomedyi występku. Autor widocznie nasiąkł pojęciami, że ludzie nie odpowiadają za swoje czynności, a taka teza zabić musi całą dramatyczność. Sudermann w głębi duszy nie wie, jak rozstrzygnąć wielkie kwestye i po prostu kreśli bez opowiedzenia się za tą, lub ową postacią.

Bardziej jeszcze uwydatnia się to stanowisko autora, ilekroć przedstawić chce postać dodatnią. Tak n. p. Rosi, siostra Elsy, która jest niby niewinna, osiąga szczęście, po które wyciąga ramiona jej wiarołomna siostra i zostaje żoną syna fabrykanta, w gruncie rzeczy jest bardzo niejasną istotą. Ma ona przy szesnastu latach już zadatki wszystkich cech, t. z. „kobiety światowej“. Jej niewinność rozumowana, ta właściwość nierozwiniętej całkiem dziewczyny, właściwość przybrana, której łatwo się może pozbyć. Sudermann nazwał swój utwór komedyą, ale nie wiele on miał wesołego w sobie.

W obec ogólnego rozprzężenia pojęć moralnych, poeta powinien malować bohaterów, aby etyczne zasady albo zwyciężyły, albo zwycięstwa przynajmniej godne się okazały, co nie zmusza go do tego, aby był moralizatorem, lub z tendencyą narzucał się czytelnikowi. Utwory Sudermanna zostawiają nas jednak bez wyjścia, a braku tego nie wynagradza poezya, lub szczere uczucie. Sudermann ma sceny tkliwe, ale nie szczere, brutalne i wprost na zmysłowość widza spekulujące, ale nie namiętne. Z jednej strony niedostaje mu uczucia, z drugiej — siły. A z takich dwóch braków żadne jeszcze dzieło wielkie się nie zrodziło.

Że efekta jego sceniczne i u nas podobać się mogły, to dowodzi tylko osłabienia poczucia piękna i zmysłu krytycznego. Chyba, że przyjmiemy za hasło: „dobre, bo nowe!“.

Z innych dramatów wystawionych w Burgteatrze, w pierwszym rzędzie podnieść muszę: „Podpory społeczeństwa“ Henryka Ibsena. Ibsen dawno już przestał być dla Wiednia poetą zagadek, suchym analitykiem duszy ludzkiej, za jakiego przez długie lata uważano go w Niemczech całych i gdzieindziej. Kto zna jeden tylko dramat tego pisarza n. p. „Rosmersholm“, albo „Upiory“, ten w rzeczy samej trudno zrozumie całe znaczenie utworu. Styl zwięzły, ścisłość wymagająca zwracania uwagi na najdrobniejsze szczegóły, brak właściwej ekspozycyi w dziełach, wprowadzenie czytelnika i widza od razu w sam środek rzeczy, rozpoczynanie z tego powodu dramatów dyalogami niezrozumiałymi nieraz, a znajdującymi wytłomaczenie w dalszych dopiero scenach, podejmywanie kwestyi bardzo spornych stosunku kobiety do rodziny i społeczeństwa, obowiązku jednostki w konfliktach z ogółem — wszystko to utrudniało zrozumienie pism Ibsena szerszej publiczności i to zarówno w czytaniu, jak na scenie. Nazywano publicystą piszącym dyalogizowane rozprawy, poetę, który stworzył „Pieśni z gór“, prawdziwe brylanty liryki europejskiej, zarzucano człowiekowi, co napisał opowiadanie wierszem „Terje Wigen“, jeden z najserdeczniejszych manifestów przebaczenia i miłości, brak uczucia, pomawiano autora „Peer Gynta“ o wysilanie się na paradoksy.

Ibsen zestarzał się, a publiczność, która się zachwycała niejednym w tym czasie autorem i niejednego z kolei zapomniała, zwróciła się wreszcie ku niemu.

W Wiedniu niemiecki teatr ludowy, który właśnie przedstawia „Norę“, dał poznać „Dziką kaczkę“ i „Rosmersholm“ a Burgteater „Wroga ludu“, „Pretendentów do korony“ i „Uroczystość w Solhang“. Przyzwyczajono się do metody twórczej poety a krytycy stali się sami głosicielami sławy norweskiego dramaturga. Nie da się zaprzeczyć, że bardzo jest wiele rzeczy w Ibsenie, na które godzić się nie można, że zaciemnia on nieraz, nie z potrzeby, ale z umysłu swoje utwory na podobieństwo owych pań, co w swych budoarach półświatła tylko znoszą, aby braki pewne ukryć i wdzięki pewne podnieść, że odmalowywał niezrozumiałe nam, patologiczne wprost postacie niewieście (Heddę Gabler, Norę, panią morza i t. d.) Ale właśnie z tych błędów płynie siła, która pociąga publiczność. Niejasność staje się mistyką i melancholią niezgłębioną, w której to nie Gynt, Brand, Rosmer, Solness i inni bohaterowie dramatów, a kobiety o silnej woli, przekraczającej pojęcia nasze ogólne o obowiązkach żony i niewiasty w ogóle w społeczeństwie, najcharakterystyczniejszych dostarczyły też poecie motywów do jego kreacyi. Taka kobieta jest też właściwie głównym motorem akcyi w „Podporach społeczeństwa“.

O innych dramatach, wystawionych w teatrze nadwornym, jak o Augiera starej „Opinii publicznej“, o nędznych ramotach Hansa Sachsa nie będę się tu rozpisywał. Augiera znają i w Wiedniu i gdzieindziej już tak dawno, że trudno o nim coś nowego powiedzieć, a Hans Sachs obchodzić może tylko historyka literatury niemieckiej i gdyby kto z badaczy nawet niemieckich „chciał wszystkich „meistersingerów“ uwzględnić, to wyliczyć musiałby — jak Otto Roquette w swojej historyi niemieckiej poezyi powiada — „wszystkich szewców i krawców“.

O operetkach i farsach teatru Carla i Josefstadzkiego pisać tem trudniej, że treści wcale nie mają, a główny ich powab stanowi sztuka dekoltowania się subretek i przebierania się w pięć, czy sześć toalet w ciągu jednego wieczora. Tem zyskuje powodzenie taka ramota, jak „Tata-Toto“, tem sztuką sezonu stała się dla teatru Carla „Lady Charlatan“ farsa, mająca za bohaterkę słynną awanturnicę z początku naszego wieku, która była posługaczką, kelnerką, modelką, kochanką kilku wybitnych osobistości, a wreszcie żoną lorda Hamiltona, powiernicą królowej neapolitańskiej a zarazem kochanką admirała Nelsona — a całą tę swoją „karyerę“ zawdzięczała czarującej swej piękności i genialnej zdolności przedstawiania posągów starożytnych udrapowaniem szalu i zmienianiem twarzy.

Kobieta ta zmarła następnie w nędzy i zostawiła pamiętniki (w rok po jej śmierci ogłoszone). Dziś ustęp z jej życia dostał się na scenę i pani Kopacsi Karczag ma sposobność dowiedzenia publiczności, że sztuka tej lady Hamilton nie całkiem zaginęła. Niektórzy twierdzą, że dowód się udał, i że podziwiana ongi przez Goethego dla swoich *attitudes* w żywych figurach awanturnica, nie o wiele więcej umiała od subretki teatru Carla. I takiemi sztuczkami żyje dziś poezya sceniczna. *Dr. H.*

Anglik o Francuzach.

Samson niezmierną okazywał pobłażliwość na słabości płci pięknej. A tej pobłażliwości potrzeba było bardzo naówczas Augustynie Brohan, Sylwanii Plessis, Rachel i jeszcze pół tuzinowi innych artystek. Wszystkie utalentowane, ale straszliwie kapryśne, tak, że zatruwały życie Bulozowi, będącemu dyrektorem „Théâtre français“ i wydawcą *Revue des deux Mondes*. Buloz, tyranizujący najznakomitszych pisarzy w całej Europie, nie mógł sobie poradzić z temi kobietami. Prawda, że doprowadzał on rzeczy, jako człek szorstki i nieznośny, do ostateczności. Zawsze wtedy ratowali go Samson i Régnier.

Jeden i drugi czuli się nadzwyczaj dumni ze swojego zawodu, tylko, że ta duma objawiała się u każdego inaczej. Régnier rad byłby, ażeby wszyscy byli aktorami, naturalnie dobrymi, i dlatego dawał lekcye amatorom i organizował nawet sam ich przedstawienia.

Samson przeciwnie, nie lubił teatrów amatorskich i niechętnie udzielał rad swoich, ale chciałby znowu, ażeby wszyscy ci, którzy przemawiają do publiczności, studyowali dykcyę i deklamacyę. „Wymowa a wymawianie — mawiał — to są dwie odrębne rzeczy, więc mowca, który nie dba o swoją dykcyę, podobien jest do Apollina źle ubranego. Pójdę dalej i powiem, że każdy powinien uczyć się mówić, nie dlatego, ażeby bawił swoich znajomych, ale dlatego, ażeby ich nie nudził. Jestem bardzo zajęty, ale poświęciłbym trzy godziny w tygodniu na uczenie mówienia młodej generacyi, a zwłaszcza tych, którzy ją reprezentują“ (deputowanych).

Samson wykluczał obcych z lekcyi w Konserwatoryum, Régnier jednak nie miał nic przeciw nim, pod warunkiem, żeby z niego nie drwili. Lekcye wreszcie Régniera były daleko więcej zajmujące, aniżeli Samsona. Ze wszystkich darów, czyniących aktora wielkim, Régnier posiadał dwa: smak i inteligencyę, inne zastępował sztuczkami w najlepszem znaczeniu tego słowa. Umiał on zdobywać publiczność jedynie przez zręczność i finezyę swojej gry, bo fizyczny jego wygląd był marny; głos też miał chropowaty i nosowy, rysy pozbawione były ruchliwości, a oczy, mimo że nie pozbawione wyrazu, nie błyszczały nigdy ogniem namiętności, ani iskrą wesołości. Więc przy uczeniu się nowej roli, musiał z góry obmyślić wszystkie efekty małe i wielkie, i próbować ich niejednokrotnie, dopóki nie doszedł do wymarzonego ideału.

Wszystkie jego intonacye miały swoją najskrupulatniejszą miarę i precyzyę, lecz gdy już raz załatwił się z tą pracą, naturalność i prawda, z jaką przedzierzgnął się cały w skórę osoby przez siebie przedstawianej, mogła złudzić najbystrzejszego krytyka i znawcę. Nigdy spółcześni, a tem mniej potomność, przypuszczać nawet nie mogli, ile olbrzymiej pracy wymagała każda z jego kreacyi, gdyby się był sam szczerze do tego nie przyznał, ponieważ jego kolegów tak zajmowała ta jego robota („manipulacya“ jak ją nazywali), że nie szepnęli słowa o tem nikomu. Przyznawali chętnie, że zawsze od niego mogli się czegoś nauczyć. Więc np. w sztuce „I radość przestrasza“, scena grana przez niego i Delaunaya wydawała się publiczności improwizowaną, a tymczasem każdy szczegół był z góry najdrobiazgowiej obmyślony. Jest to scena, w której stary sługa, ścierając kurze w pokoju, mówi sam do siebie o paniczu, poruczniku Adryanie, którego mają za zmarłego: „Widzę go jeszcze — powiada — kiedy powracał z długiej przechadzki, zmęczony, głodny na śmierć, jak woła na mnie już od drzwi: „To ja kochany przyjacielu, umieram z głodu. Prędko dawaj omlet!“. W tej chwili porucznik wchodzi do pokoju, i słysząc te słowa, powtarza je co do joty.

Pomimo krótkości tego frazesu, Delaunay umiał go rozdzielić na cztery części. Przy słowach: „To ja, kochany przyjacielu“ sługa podniósł w górę oczy, jak gdyby się chciał przekonać, czy głos nie pochodzi z nieba i czy sam nie znajduje się w obłędzie; przy słowach: „umieram z głodu“ przekonywa się, że jest to istotnie głos ludzki, a nareszcie kiedy słyszy: „Prędko dawaj omlet!“, odwraca się raptownie i pada jak martwy w objęcia młodzieńca.

Cała ta scena była ułożoną z góry w każdym szczególe, mimo to Régnier na pierwszem przedstawieniu, nerwowy jak każdy wielki artysta, zapomina o całej kombinacyi i na pierwsze słowa Delaunay'a, nieprzytomny ze wzruszenia, pada jak nieżywy na niego, który, nieprzygotowany na to, o mało istotnie nie upadł, Régnier zaś, leżąc jak długi na scenie, wywołał szał i burzę oklasków.

„Było to prześwietnie — rzekł Delaunay do Régniera — powtórzysz to samo jutro, co?“ Lecz Régnier nie dał się do tego nakłonić w żaden sposób i trzymał się już odtąd pierwotnego planu. Wolał powierzyć się swojej sztuce, aniżeli porywowi natury.

Z tej to przyczyny lekcye Régniera budziły tyle zajęcia. Odrazu poznano obfitość zasobów, któremi wielki aktor wywoływał efekty. Już z samego rodzaju swego talentu, wolał on tego z pomiędzy uczniów, który, nie dając się unieść własnej wrażliwości, trzymał się danych informacyi. I ci, co tak nie czynili, wprawiali go zawsze w niepokój. „Uczucia zmieniają się — mawiał — ale efekty, rozumnie pojęte i sumiennie wykonane, nie mogą się zmieniać nigdy“.

Skutkiem tego, wyrobił sobie ulubioną teoryę, że uczniowie, najhojniej wyposażeni przez naturę, nie dochodzą nigdy do większej doskonałości od tych, z którymi natura obeszła się skąpo, byle tylko powołanie tych ostatnich było istotnem i wytrwałem. I kiedy Samson pysznił się sławną Rachel, Régnier niemniej pysznił się Coquelinem starszym, jako tym, który go kosztował najwięcej pracy. Augustyna Brohan tak to wyrażała: „Régnier jest jak ów wielki pan, który zakochuje się w wieśniaczce i każe ją uczyć wszystkiego; co do mnie, gdybym była mężczyzną, wolałabym zawsze pannę z dobrego domu, nie potrzebującą tylu lekcyi“.

Cierpliwość jego, jako nauczyciela, była zdumiewającą, czasami jednak opuszczała go, a wtedy chwytał się za gęstą czuprynę i zagłębiał nos w dużej chustce w czerwone kratki, ażeby go wytrzeć hałaśliwie. Mimo komiczności tego ruchu, uczniowie ani drgnęli, wiedząc już, co to znaczy.

Ci co myślą, że lekcya Régniera była prostym wykładem ruchów i dykcyi, są w ogromnym błędzie. Régnier różnił się w tem od swych słynnych kolegów, że otrzymał znakomite ukształcenie. Był nawet architektem i malarzem. Dużej wiedzy, znał charaktery wszystkich wielkich osobistości historycznych. Gdy chodziło o obyczaje i zwyczaje średniowieczne, o starożytność grecką i rzymską, mógł był nauczyć niejednego specyalnego profesora. Nazywano go więc słusznie „uczonym aktorem“. Gdy który z uczniów nie rozumiał ważności jednej z figur w tragedyach Corneille'a lub Racine'a, Régnier natychmiast jął rozprawiać z taką głębokością i z takim czarem, że zachwycał słuchaczy. Prawdziwe tchnienie artysty zdawało się ożywiać te szkielety historyczne i pobudzać je do życia.

MAŁY FELJETON.

Nowe środki komunikacyjne.

W ślad za nadzwyczajnie szybkim rozwojem wielkich miast, w ostatnich czasach wywiązała się doniosła, a nieraz nawet rozstrzygająca dla tego rozwoju kwestya szybkiej, taniej i wygodnej komunikacyi oddalonych od siebie centrów ruchu miejskiego. Nie ma już dziś w Europie dużego miasta, na którem nowoczesna komunikacya nie wycisnęłaby swego piętna, wypierając z każdym dniem kosztowny, a wskutek tego nie dla wielu osób przystępny stary sposób komunikowania się fiakrami i powozami. We Lwowie, który nie ze wszystkiem jeszcze stanowi typ miasta zachodnio-europejskiego i wskutek braku silnie rozwiniętego przemysłu ma do pewnego stopnia odmienne wymagania pod tym względem, kwestya przedstawia się o wiele łatwiejszą do rozwiązania, niż gdzieindziej. Mamy już szybką i tanią komunikacyę na jednej z głównych arteryi miejskich: dworzec, ulica Gródecka, Karola Ludwika i Łyczaków, a z chwilą, gdy tramwaj elektryczny w miarę podnoszenia się przedmieść, przedłuży swą linię do rogatki zielonej, zaś tramwaj konny na linii żółkiewskiej zamieni dzisiejszy swój motor na elektryczny, będzie można uważać kwestyę komunikacyi ulicznej we Lwowie na długie lata za rozwiązaną.

Inaczej dzieje się w olbrzymich centrach zachodnich. Tam pomyślne załatwienie tej kwestyi staje się z roku na rok trudniejszem. Tramwaje, które u nas mają jeszcze racyę bytu i wprowadzone są do miast naszych jako nowość, tam nie zaspokajają już potrzeb mieszkańców i powoli wychodzą z użycia. Bo jeżeli taniość komunikowania się tramwajami nie pozostawiałaby nic do życzenia, to niedostatecznie odpowiada ono drugiemu, niemniej decydującemu warunkowi, a mianowicie szybkości biegu. Nawet najwyższa dająca się osiągnąć szybkość tramwajowa nie wystarcza dla miast takich, gdzie przestrzenie mierzą się na dziesiątki kilometrów, tem bardziej, że szybkość ta musi być uwarunkowaną bezpieczeństwem ludzkiem, ponieważ tramwaje kursują w bezpośredniej styczności z pieszą publicznością.

Ten warunek był jednym z głównych bodźców do wprowadzenia w wielkich miastach kolei podziemnych i nadziemnych na arkadach. Bezpieczeństwo, zwiększone w ten sposób przez izolacyę toru od ulic, pozwoliło na zwiększenie szybkości. Zastosowały u siebie ten nowy system miasta: Londyn, Nowy Jork, Chicago i Berlin, a zatem najruchliwsze miasta zachodu.

Jednakże nie każde miasto posiada odpowiednie warunki, aby módz zbudować kolej tunelową lub na arkadach. Warunki położenia geograficznego lub kwestya finansowa nie pozwalają nieraz na podobne urządzenie. To też dla wielu miast starano się zadanie to rozwiązać w inny sposób, lecz napotkano przy wszystkich nowych projektach na niezliczone i z trudnością dające się pokonać przeszkody.

Dopiero w ostatnich latach inżynier Langen z Kolonii, biorąc na uwagę wszystkie możliwe trudności komunikacyjne, zaprojektował budowanie w wielkich miastach kolei wiszących. W ogólnych zarysach budowa tych kolei polega na tem, że na ulicach wzdłuż domów ustawiają się wysokie wiązania żelazne, na których ułożone zostają szyny podobnie jak są umieszczone druty tramwaju elektrycznego. Wagon z odpowiedniem urządzeniem, w górnej części zawiesza się na szynach i przy pomocy motoru elektrycznego wprowadza się go w ruch. Kolej wisząca, według systemu Langena, zbudowaną być może z dwiema szynami lub też z jedną. W pierwszym wypadku układa się zwykłe szyny kolejowe, po których przesuwają się wózki z przywieszonemi wagonami; w drugim wypadku po szynie sunie wagon, przymocowany do specyalnie zrobionych w tym celu przyrządów ze szczękami, w których umieszczone są osie kół; koła tedy obejmują szynę i tem samem zapewniają nawet większe bezpieczeństwo, aniżeli przy torze o dwóch szynach.

Bezpieczeństwo w ogóle na kolejach wiszących jest daleko większe, aniżeli przy innych systemach. Nadto system Langena odznacza się podobno tem, że przyrządy bezpieczeństwa są bardzo nieskomplikowane. Dwuszynowy system nadaje się bardziej dla komunikacyi miejskiej, podczas gdy z jedną szyną znajduje lepsze zastósowanie we fabrykach, a w miastach tylko w razie specyalnych warunków położenia.

Przystanki do wsiadania i wysiadania osób muszą być urządzone na balkonach, na wysokości pierwszego piętra; z balkonu na drugiem piętrze można znów wsiadać do wagonu idącego w przeciwnym kierunku na wysokości tego piętra. W ten sposób idą dwa tory kolejowe po nad sobą.

Ważną zaletą tych kolei jest także taniość, która tłumaczy się tem, że budowa żelaznych pomostów jest mniej kosztowna, niż stawianie murowanych budowli pod ułożenie toru. Ze względów estetycznych zaś koleje wiszące są pożądane, gdyż słupy podtrzymujące szyny mogą być wykonane z ornamentami. Niejaki architekt Feldman skomponował już nawet nadzwyczaj gustowne wiązania żelazne. Projekty kolei wiszących wykonano już dla niektórych miast niemieckich, jako to: dla Berlina, Hamburga, Kolonii itd. i prawdopodobnie miasta te zaprowadzą u siebie także koleje wiszące. Na próbę zbudowaną została kolej w Deutz, która funkcyonuje bardzo dobrze i dowodzi o praktyczności systemu Langena. Berlin gorączkuje się poprostu tą nowością. Jedna część kolei wiszącej ma być podczas wystawy 1896 roku wykończona: będzie ona prowadziła na plac wystawy.

We Francyi tymczasem technika komunikacyjna wpadła na pomysł poruszania kolei miejskich niewyzyskanym jeszcze w tym kierunku motorem, tj. ścieśnionem powietrzem. Pierwszą stacyę centralną dla zgęszczania powietrza zbudowano w Paryżu w roku 1879. Zastosowanie tej siły poruszającej przechodziło zwolna na coraz szersze kręgi, począwszy od zegarów pneumatycznych, a skończywszy na drobnych przedsiębiorstwach fabrycznych. Później przyszła kolej na tramwaje. Próby, dokonane w miejscowościach Nogent i Nantes, dały tak zadowalniające rezultaty, że rozpoczęto w samym Paryżu budowę trzech linii tramwaju na których ścieśnione powietrze zastosowane będzie jako motor.

Oto jak wygląda system, wedle którego ta nowość komunikacyjna zostanie doprowadzona do skutku. Na stacyi centralnej powietrze zostaje ścieśnione do wysokiego napięcia i stamtąd rozprowadzone do głównych kanałów, umieszczonych pod szynami kolejowemi. Przez odnogi rur powietrze dostaje się do specyalnych automatycznych aparatów, umieszczonych tuż pod brukiem ulicznym, z których przechodzi do rezerwoarów wagonowych. Przy pomocy podobnego urządzenia, zdaje się, że jedna stacya centralna będzie wystarczającą. Ponieważ zaś napełniacze owe mogą być w bliskich od siebie odstępach umieszczone, przeto niepotrzebna waga rezerwoarów wagonowych znakomicie może być zmniejszoną.

Odległość pomiędzy stacyami do napełniania rezerwoarów normuje się odpowiednio do warunków miejscowych. Napełnianie rezerwoarów odbywa się na następujących ogólnych zasadach. W chwili gdy na stacyi tramwaju przednie koła wagonu wjeżdżają na aparat, służący za łącznik pomiędzy siecią rur a wagonem, mechanizm dźwigniowy zmusza główny wentyl owego aparatu do otworzenia się, wskutku czego tworzy się połączenie stacyi głównej z wagonem. Rezerwoar wagonu napełnia się ścieśnionem powietrzem, które następnie w cylindrach wykonywa pracę i w ten sposób udziela ruchu wagonowi aż do następnej stacyi. Po napełnieniu rezerwoaru wentyl automatycznie się zamyka i przeszkadza dalszemu wpływowi ścieśnionego powietrza. W razie, gdyby mechanizm ten został uszkodzony, w miejscach ewentualnego napełniania rezerwoaru powietrzem umieszczone są zapasowe rury boczne przez które po połączeniu ich wprost z rezerwoarem, ten ostatni napełniony być może.

Jeśli rezultaty osiągnięte w Paryżu wypadną zupełnie zadowalniająco, wtedy nowy ten środek komunikacyjny wystąpi jako nadzwyczaj poważny konkurent kolei elektrycznych tem bardziej, że tramwaje pneumatyczne mają pod każdym względem wyższość nad elektrycznemi i nie szpecą ulic słupami i drutami, jak tramwaj elektryczny, gdyż wszystkie urządzenia schowane są pod ziemią, nie narażają życia ludzkiego na niebezpieczeństwo i nareszcie są o wiele tańsze, albowiem fabrykacya ścieśnionego powietrza kosztuje daleko mniej, niż wytwarzanie prądu elektrycznego.

KRONIKA.

Lwów 8 stycznia.

„Kto on?“ W dzisiejszym numerze *Przeglądu* rozpoczynamy druk noweli Jana Łady p. t. „Kto on?“ Pod pseudonimem Jana Łady kryje się jeden z naszych wybitnych pisarzy, który na innem polu zdobył już sobie głośne imię a dopiero od paru lat zaczął wzbogacać naszą literaturę prześlicznemi nowelkami. Jedną z nich, obrazek na tle stosunków Podlasia pt. „Ostatnia msza“, przetłómaczono już na język francuski i czeski.

Mianowania. Jeneralny konsul Karol Kwiatkowski otrzymał przy sposobności przeniesienia go w stan spoczynku tytuł i charakter radzcy ministeryalnego. — Wyższy sąd krajowy we Lwowie mianował: Kornela Piaseckiego, Józefa Galberga, Józefa Schellera kancelistami sądu kolegialnego w Przemyślu, St. Górnisiewicza, St. Kozińskiego i Tadeusza Nizienieckiego we Lwowie; dalej mianował kancelistami sądów powiatowych: Jana Pawlika w Drohobyczu, Samuela Kurzera w Brodach, Adama Sawickiego w Radymnie, Jana Strokona w Lubaczowie, Aurelego Trusza w Sokalu i Ludwika Różyckiego w Krakowcu; kancelistami dla prowadzenia ksiąg gruntowych: Józefa Grabowskiego w Złoczowie, Ignacego Janowskiego w Rudkach i Jana Kindeforskiego w Dynowie. — Tadeusz Czajkowski, suplent w seminaryum nauczycielskiem w Tarnowie, mianowany nauczycielem.

Order. Cesarz pozwolił p. Zdzisławowi Dzierżykraj Morawskiemu, sekretarzowi prezydyum ministerstwa, przyjąć papieski order Piusa.

Zmiana własności. Dobra Strylcze w powiecie horodeńskim nabyli p. Krzysztofowiczowa i p. Aywas od p. Michaliny z Gaurchów Straszewskiej za 155.000 zł.

Na Bukowinie w powiecie suczawskim ks. Dymitr Sturdza z Rumunii kupił dobra Russ-Stefanowicz od p. Dawida Kostinera za 112.000 zł.

Z Towarzystwa łyżwiarskiego. Gdy z powodu niepogody i śnieżycy niedzielnej, zapowiedziany na ten dzień festyn „Bazar cukierkowy na lodzie" urządzonym być nie mógł, odbędzie się on, przy pełnej kapeli wojskowej, tej środy tj. 9 stycznia. Początek o godzinie 2½.

Mieszkańcy III dzielnicy poruszają wszystkie sprężyny, aby jeśli to jeszcze możebne, skłonić władze kompetentne do przerzucenia linii kolejowej, łączącej główny dworzec z Podzamczem, za miasto i do zniesienia obecnego wału kolejowego odcinającego zupełnie dzielnicę Żółkiewską od reszty miasta. Ostatnimi dniami wnieśli więc na ręce namiestnika hr. Badeniego stosowną petycyę do jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych i do ministerstwa handlu, zaś na ręce komendanta korpusu ks. Windischgraetza wnieśli taką samą petycyę do ministerstwa wojny. W petycyach tych wykazują oni, jak wielkiem dobrodziejstwem dla miasta naszego byłoby to przerzucenie toru, które dałoby się uskutecznić stosunkowo nieznacznym kosztem. Wedle bowiem szczegółowych obliczeń, dołączonych do petycyj trzebaby wybudować 6·3 kilom. dwutorowej linii głównej, 2 i pół kilometra jednotorowych dojazdów do nowo powstać mającej na Kleparowie głównej stacyi „Lwów" i urządzić dwa przystanki, jeden na Kleparowie drugi na Zniesieniu, co wszystko razem kosztowałoby milion, a najwięcej 1·200.000 złr., zaś samo położenie drugiego toru na dzisiejszej linii kosztować będzie przeszło 700.000 złr.

W sprawie procedury cywilnej umieszczoną notatkę uzupełniamy tem, że komisya wybrana przez zgromadzenie Izby adwokatów, obrała adwokata Dr. Steczkowskiego referentem projektu do ustawy o postępowaniu egzekucyjnem, w obec czego do tego referenta powinny być zgłaszane wnioski, dotyczące postępowania egzekucyjnego.

Z Tarnopola donoszą, iż na ostatniem posiedzeniu tamecznej Rady powiatowej p. Tapkowski przedłożył projekt założenia szkoły rzeźbiarsko-kamieniarskiej w Tarnopolu. W powiecie istnieją obfite pokłady kamienia, które mimo ogromnego zaniedbania domorodnego przemysłu kamieniarskiego, dość znaczne przynoszą dochody. Założenie szkoły i wywołane przez nią rozwinięcie kamieniarstwa podniosłoby ten przemysł i podwyższyło dochody kamieniołomów. P. Tapkowski żądał, aby Wydział powiatowy wniósł w tej sprawie petycyę do Sejmu. Z okolic Tarnopola wywożą rocznie 800 wagonów tj. 35.300 m. sześciennych kamienia.

Ze Stryja piszą nam: W warsztatach kolejowych urządzono tu „Gwiazdkę" dla dzieci służby kolejowej. W oznaczonym dniu około rzęsiście oświetlonego drzewka, na którem zawieszono mnóstwo podarunków, zebrało się przeszło tysiąc dzieci, do których przemówił inspektor p. Majewski, a następnie rozdzielił między nie podarki. Radość dziatwy była niezmierna.

W Łukawicy koło Stryja zmarła Zofia z Gadzińskich Barańska, żona właściciela dóbr.

† Edmund hr. Krasicki. Dnia 24-go grudnia r. z. w rodzinnym majątku Lisko zszedł ze świata Edmund hr. z Siecina Krasicki, urodzony w pierwszym dziesiątku bieżącego stulecia z ojca Ksawerego adjutanta ks. Józefa Poniatowskiego. Wychowany w domu rodzicielskim pod wpływem najpiękniejszych wzorów pospieszył na pierwszy odgłos trąby wojennej r. 1831, aby się zaciągnąć w szeregi legii nadwiślańskiej, gdzie uzyskał szlify oficerskie. Po upadku rewolucyi osiadł na wsi w Bachórcu, w ziemi sanockiej, a ożeniwszy się w parę lat później z Anielą hr. Brzostowską, poświęcił się gospodarstwu rolnemu.

Ś. p. Edmund Krasicki oddanym był w czasie swej dziesięcioletniej działalności, cichej a konsekwentnej pracy około dobra Kościoła i narodu, nie ubiegał się nigdy o zaszczyty i dostojeństwa, do których z tytułu wysokiej inteligencyi wszelkie posiadał prawo, to też przez cały szereg lat epoki autonomistycznej nie zajmował specyalnych stanowisk oprócz marszałkowstwa Rady powiatowej w Lisku, które z wielkiem oddaniem, a korzyścią dla powiatu piastował, a złożył go dopiero wtedy, gdy nadwątlone zdrowie nie pozwoliło obowiązków dłużej wykonywać. Odtąd całą duszą oddal się innej idei a tą była myśl budowania kościołów i kaplic, kierując się przytem głęboką wiarą, że kościół jest dla ludu skarbnicą do rozbudzenia i przechowania ducha narodowego. Ojciec św. Leon XIII chcąc dać wyraz wielkim zasługom nieboszczyka około Kościoła nadał mu wielką wstęgę orderu ś-go Grzegorza.

Ś. p. hr. Edmund Krasicki był prawdziwym przyjacielem ludu wiejskiego, odczuwał na każdym kroku jego moralne i materyalne potrzeby, wspierał go słowem i czynem. Jak dokładnie był obznajomiony z faktycznymi stosunkami w obrębie dóbr swoich dużych, niechaj zaświadczy przykład, że nieboszczyk znał dokładnie stan każdej prawie rodziny włościańskiej, jej byt majątkowy itp., a nigdy się nie narzucając, był zawsze gotów wysłuchać choćby najmizerniejszego, to też we wszystkich ważniejszych sprawach rodzinnych, jak przy kojarzeniu się małżeństw, w sprawach majątkowych, działach rodzinnych itp. zgłaszali się włościanie z dobrej woli o poradę do swojego dziedzica, a ten spełniał dobrowolny urząd sędziego pokoju i nie bywało wypadku, aby włościanie, zasięgający rady, nie zastosowali się do zdania nieboszczyka swojego pana. Wpływ ś. p. hr. Edmunda nie ograniczał się jedynie i wyłącznie do włościan z własnych dóbr, ale sięgał częstokroć po za granicę tych dóbr. Próbę oraz miarę tego wielkiego wpływu stanowiły wybory z kuryi włościańskiej w powiecie liskim, względnie w dużym obrębie sfery wpływów ś. p. hr. Edmunda, gdzie jedyną kwalifikacyą dla kandydata do Rady powiatowej, Sejmu, lub Rady Państwa bywało, czy hr. Edmund jest zwolennikiem kandydata, gdyż tylko taki miewał szanse powodzenia.

Niewątpliwie korzystniejby się nasze stosunki układały, gdyby podobnych wzorów cichej pracy wiejskiej więcej naliczyć można! Cześć pamięci wzorowego obywatela, cześć zmarłemu patryarsze ziemi sanockiej! Hr. Edmund Krasicki pozostawił wdowę i dwóch synów, bezżennego hr. Michała, i hr. Ignacego, ożenionego z hr. Elżbietą Zamojską.

Zjazd notablów. Obiegają wiadomości, że car Mikołaj II postanowił zwołać do Petersburga zjazd wybitnych ludzi z pomiędzy szlachty, reprezentantów miast i wielkiego przemysłu, aby z ich zdań i opinii wyciągnąć wnioski o potrzebach swych poddanych i uzyskać podstawę do ewentualnych zmian w systemie rządzenia. Owóż dzienniki wiedeńskie, donosząc o tem, wymieniają już nazwiska Polaków, którzy otrzymali od cara takie wezwanie. Mianowicie udać się mają na zjazd notablów z Warszawy pp. Wielopolski, Potocki, dr. Baranowski i dr. Bloch.

Kradzież w Watykanie. Z Rzymu donoszą: W ostatnich dniach zeszłego roku zgłosił się niejaki Jan Rapisardi, mianujący się profesorem, do ministeryum oświaty i zaproponował sprzedaż 21 wspaniałych miniatur z XII wieku, przedstawiających sceny z Nowego i Starego Testamentu. Naczelnik sekcyi w ministeryum prof. Venturi poznał się odrazu na wyjątkowej wartości miniatur, a że wzbudziło się w nim podejrzenie, iż mogły być skradzione; kazał je targować za 1100 lirów, dawszy 200 lirów zadatku, a tymczasem uprzedził o tem prefekta biblioteki watykańskiej msgr. Cariniego, zapytując go, czy rzeczone miniatury nie pochodzą przypadkiem z biblioteki watykańskiej? Jakoż okazało się, że z biblioteki znikło kilka drogocennych książek, zaś rzeczone miniatury (30 sztuk) wykrojone zostały z kodeksu pergaminowego wielkiej wartości. W dalszym ciągu poszukiwań wykryto, iż kilku antykwaryuszy nabyło od tego samego indywiduum za bezcen niektóre pergaminy, wycięte w bibliotece watykańskiej, a jeden z nich zeznał, iż nabył je dla hr. B. Tyszkiewicza, znanego amatora starożytności. W ten sposób odzyskano „Trianfi" Petrarki, „Homelie" Fra Giacomo. Skoro Rapisardi zgłosił się po odbiór reszty pieniędzy, został w tej chwili aresztowany. Jest to człowiek wykształcony, który już raz był poszlakowany o kradzież w bibliotece Casanatense na Piazza della Minerva. Zebrał był już około siedmiu tysięcy lirów ze sprzedaży skradzionych zabytków, czego dokonał bardzo zręcznie pod pozorem pracowania nad inkunabułami średniowiecznemi.

Zgromadzenie tygodniowe Towarzystwa politechnicznego odbędzie się we środę dnia 9 stycznia o godzinie 7 wieczór w lokalu Towarzystwa. Na porządku dziennym: Wykład prof. Jaegermanna „O budowie drugiego toru kolei Lwów-główny dworzec i Lwów-Podzamcze".

Bandyci na Sardynii sprawiają ciągłe kłopoty rządowi. Bandyta Giovanni Sedda, już raz osaczony i ciężko ranny w walce z karabinierami, dotychczas jest postrachem wyspy. Wprawdzie władze aresztowały mnóstwo włościan ze wsi Sant Andrea Fonis, gdzie rozbójnik ma krewnych i wspólników, ale skutek aresztowań był ten, że reszta ludności uciekła w góry. Policya znajduje ciągłe przeszkody w oporze mieszkańców, którzy, bojąc się krwawej zemsty Seddy, wolą uciec w góry, niż wydać herszta. Przytem włościanin, aresztowany pod podejrzeniem spólnictwa, woli cierpieć, niż wygadać się. W okolicach Rzymu grasują również bandyci, ale tu nie są oni tak śmiali, jak zdala od stolicy państwa; silna załoga, stojąca w Rzymie, ukróca bardzo ich odwagę. Mimo tego napady się zdarzają, a ofiarą ich padają przeważnie kupcy. Inne osoby bandyci oszczędzają. Oryginalna przygoda zdarzyła się przed kilku laty naszemu artyście-malarzowi K. Millerowi, zamieszkałemu stale w Rzymie. Oto robiąc wycieczkę w góry sabińskie z przewodnikiem miejscowym, natknął się w wąwozie na draba mocno podejrzanej powierzchowności. Drab zapytał przewodnika: Kto jest pan? — Przewodnik: Jest malarzem... — Drab machnął pogardliwie ręką i krzyknął ze złością: *Avanti!...* Poszli dalej. Artyści-malarze, jak wiadomo, uchodzą we Włoszech za ludzi, nie mających nigdy grosza w kieszeni i stąd ten gniew bandyty.

Samobójstwa. W Siedliskach pod Przemyślem odebrał sobie onegdaj życie wystrzałem z karabinu szeregowiec 45 pp. Wilusz. Przyczyna samobójstwa nieznana.

W domu pod l. 17 przy ulicy Jagiellońskiej zastrzelił się wczoraj niejaki Stefan Cićkiewicz, ekspres. Udawszy się do miejsca ustępowego wypalił do siebie z rewolweru, tak, że kula przeszła tuż koło serca. Mimo to Cićkiewicz miał tyle jeszcze siły, że schował rewolwer do kieszeni i wyszedł na podwórze, gdzie padł nieżywy. Powodem samobójstwa było rozwiązłe życie i sprzeniewierzenie pieniężne.

Anegdota żołnierska. *Magdeburger Zeitung* opowiada następującą wesołą historyjkę żołnierską:

Jenerał brygady Sebotendorf odbył przegląd pułku, a przy końcu oświadczył oficerom swoje zadowolnienie z dobrej postawy żołnierzy, obrotów itd., lecz zarazem dodał, aby kapitanowie nigdy nie spuszczali z oka ważności t. zw. „służby wewnętrznej". „Służba wewnętrzna, panowie, to grunt!... Panie kapitanie Kuntze, każ pan swej kompanii wystąpić... Bardzo dobrze; jak się nazywa ten trzeci żołnierz w pierwszym szeregu?" „Lehmann, panie jenerale." „Co ten żołnierz ma na nogach, skarpetki czy onucki?" „Przepraszam pana jenerała, ale tego to już nie wiem." „W takim razie, moi panowie, nie dość uważacie na służbę wewnętrzną. Dla kapitana jestto rzeczą nieodzowną wiedzieć w marszu, co żołnierz ma na nogach... Żegnam."

Zdania oficerów co do „służby wewnętrznej" były bardzo podzielone. W następnym roku jenerał znowu przybył na przegląd. Wszystko poszło znakomicie, atoli po ocenie ruchów, postawy żołnierza itd. jenerał wpadł znowu na swoją „służbę wewnętrzną". „Panie kapitanie Liebig, rozstaw pan swoją kompanię... Piąty żołnierz z drugiego szeregu na front!... Jak się nazywa ten żołnierz?" „Neumann, panie jenerale." „Co ma na nogach, skarpetki czy onucki?" „Onucki, panie jenerale." „Bardzo pięknie. Neumann, zdejm buty." Neumann na komendę zdjął jeden but i pokazał jenerałowi dosyć brudną onuckę. „Czwarty z trzeciego szeregu, ósmy z pierwszego, wystąpić!... Jak się nazywają ci żołnierze, kapitanie Liebig?" „Meyer i Schultze, panie jenerale." „Co mają na nogach?" „Meyer ma skarpetki, a Schultze ma onucki." „Dobrze... Meyer i Schultze, zdejmcie buty." Na komendę zdejmują buty. Meyer pokazuje skarpetkę, a Schultze onuckę. Ogólne zdziwienie.

Jenerał, wzruszony do żywego, nie posiada się z radości i nie ma dosyć słów pochwały dla mistrza w „służbie wewnętrznej", a przytem wcale niedwuznacznie daje mu do zrozumienia, że awans go nie minie. Gdy jenerał odjechał, oficerowie opadli szczęśliwego kapitana. „Tam do kata, pewnieś nigdy w życiu tak nie zatopił się w służbistości... Powiedz jednak, kolego, jakeś to urządził, że wszystko tak doskonale się zgadzało?" „Całkiem naturalnie. Wczoraj kazałem mojej kompanii wystąpić i zawołałem: Jutro każdy z was na jedną nogę weźmie skarpetkę, na drugą onuckę, a kto z was przed front wywołanym zostanie, niech uważa, czy ja powiem skarpetki czy onucki, potem niech pokaże odpowiednią nogę. A uważać, bo na trzy dni do dziury! No, spisali się, a ja kapitalnie spełniłem służbę wewnętrzną naszego starego."

Zmarli. Z Sanoka donoszą nam telegraficznie, że w Niebieszczanach umarła wczoraj Olga z Truskolaskich Fihauserowa.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 4° R. w poł. — 0° R. Bar. 756. Podnosi się. Śliczna pogoda.

W sądzie.

Recydywista po wyroku: — Tamtym razem dostałem dwa miesiące kozy za to, żem kradł w dzień, teraz znowu rok za to, żem kradł w nocy. Nareszcie człowiek nie będzie wiedział czego się trzymać, kiedy może kraść, by się nie dostać do ula.

Korespondencya Administracyi. *WP. M. w Skawinie* Administracya *Przeglądu* zajmuje się tylko prenumeratą własnego pisma, a prenumeraty na inne pisma nie przyjmuje wcale. Ten fakt, że do naszego pisma dołączony był prospekt na któreś inne pismo, nie dowodzi bynajmniej, żeśmy objęli administracyę tamtego pisma i zajmujemy się jego sprzedażą, tak samo jak prospekt na maszyny rolnicze lub na kawy, dołączony do *Przeglądu* nie dowodzi wcale, że Administracya *Przeglądu* sprzedaje odtąd maszyny rolnicze, lub handluje kawą. Na każdym prospekcie podany jest zwykle adres autora prospektu i tam się udawać należy, a nie do administracyi *Przeglądu* Otrzymawszy pańską kartę reklamacyjną, zrobiliśmy dla WPana wyjątek i posłaliśmy pieniądze i tę kartę do Administracyi owego pisma, o które Panu idzie. Więcej nic robić w tej mierze nie możemy, a WPan może swoje reklamacye zwrócić do Administracyi tamtego pisma, ono zaś niezawodnie zadość uczyni Pańskim żądaniom.

Teatr. Dziś we wtorek „Montjoye", komedya w 5 aktach Oktawiusza Feuilleta. We środę „Guzik" i „Śluby panieńskie". We czwartek „Dzieciaki". „Zemsta bogini" i „Małżeństwo na próbę".

Rozmaitości.

— **Szuby—futra—futerka.** Anglicy są najsprytniejszymi i najobrotniejszymi kupcami świata. To tylko jedno może służyć za objaśnienie, skądześrodkowali u siebie i wyrobili dla siebie monopol handlu futrami. Wielka Brytania, oprócz lisów, liczonych niemal na palcach, innych zwierząt, dających futra, nie posiada; sami zaś Anglicy futer nie używają ze względu, że klimat wyspy jest względnie łagodny. Pomimo to zdołali uczynić Londyn najpotężniejszym rynkiem handlowym na futra. To fakt, nie ulegający wątpliwości. Skórka sobolowa, pochodząca z Syberyi, płaci haracz kupcowi londyńskiemu, zanim zdobić zacznie palto eleganta petersburskiego lub moskiewskiego; srebrne lisy Kanady idą nad Tamizę na pobyt kilkodniowy lub kilkotygodniowy, zanim ukażą się w sklepie kuśnierza w Nowym Jorku. I niczem, jak tylko szczęściem Anglików do handlu, objaśnić się nie da fakt, iż kupcy amerykańscy płacą komisowe składnikom londyńskim, zamiast kupować szuby, futra i futerka z pierwszej ręki wprost od traperów z Kanady. Bądź co bądź rynki handlowe Lipska, Niżniego Nowgorodu, ba, nawet Irbitu, zależne są od głównego w świecie rynku na futra— od Londynu.

Corocznie w styczniu, marcu, czerwcu i październiku ajenci najpierwszych „domów" futrzanych Francyi, Rosyi, Niemiec, Austryi, Grecyi zbierają się w Londynie, aby omówić ceny i nabyć na licytacyi potężne zapasy futer, zaofiarowane przez angielskich składników hurtowych. Sprzedaże te kwartalne trwają od 10—15 dni, a są zapowiadane w ogromnych katalogach, obejmujących setki stronic. Obliczają, że Anglia w ten sposób sprzedaje corocznie futer za sto milionów franków. Zyskiem dzielą się robotnicy angielscy, mistrze niezrównani w przygotowywaniu futer, i 5—6 składników angielskich.

Oczywiście ceny na licytacyach, odbywających się co kwartał w Londynie, zależą od kaprysów mody. Gronostaje np., które dochodziły w wiekach średnich do cen olbrzymich, obecnie sprzedawane są na równi z pośledniejszemi gatunkami futer. Przed dwoma laty moda przywróciła niektóre prawa gronostajom, to też cena ich podniosła się cokolwiek. Kanadyjczycy zaprzestali już polować na gronostaje, a Chińczycy, główni ongi dostawcy tego towaru, całkowicie zapomnieli o towarze, nie mającym zbytu. Jak się rzekło, przed dwoma laty poszanowanie gronostajów wzmogło się nieco, a jest to tem naturalniejsze, iż białe te zwierzątka dają futra najtrwalsze ze wszystkich.

Sobole w ostatnich latach przychodzą powoli do mody, po „przejściu przez całe piekło" niezasłużonej pogardy i niezasłużonego zapomnienia. Obecnie płacą niejednokrotnie do 1000 fr. za skórkę sobolową, jeżeli jest bez skazy. Cena ta nie powinna nas dziwić, jeżeli zważymy, iż sobol ginie powoli, lecz stale. Minęły te czasy, gdy mieszkańcy Syberyi zamieniali futerko sobola na nóż w kościanej oprawie. Dziś trochę tych zwierząt znajdziecie zaledwie na Kamczatce, a polowanie na zwierzątka jest pełne niebezpieczeństw w krainach, pokrytych śniegiem i lodem. Część tych futer idzie na dwory, część zaś wędruje do Londynu, gdzie zwycięża bardzo ciężką konkurencyę z falsyfikatami Chińczyków, którzy z niedoścignionem mistrzostwem fabrykują sobole — niesobolowe. To też kupcy nie poznają sobola po futrze, lecz po skórze, która nosi na sobie cechy niepodobne do podrobienia.

Ale i wydry znikają... Zwłaszcza wydry amerykańskie giną co roku tysiącami. Niedaleką jest chwila, gdy i tych zwierząt zabraknie nam na futra. Ongi niezliczona ich liczba przebywała na wybrzeżach morza Behringa. Ale dziś „non est locus, ubi Troia fuit". Nic też dziwnego, iż dyplomacya wdała się w sprawę i zażądała od rządów angielskiego i amerykańskiego ograniczenia połowu tych zwierząt, na równi z połowem fok.

Najbardziej poszukiwane i stosunkowo najlepiej płacone są lisy z Ameryki północnej. Kanada słusznie dumną może być z tego, że jest ojczyzną tych drapieżników, zasługujących na jakie takie pobłażanie jedynie ze względu na wyjątkową trwałość i piękność futra. W Europie lisy są prawie zawsze jednego i tego samego koloru, ale za Atlantykiem przybierają barwy najrozmaitsze. Klimat północny sprawił, iż w futrze lisów amerykańskich najrozmaitsze znajdziecie odcienie: znajdziecie tam lisy płowe, rude, srebrzyste, czarne, niebieskie lub białe.

Naturaliści natrafiają na pewne trudności przy klasyfikowaniu tej różnobarwnej rodziny. Przyrodnicy kanadyjscy twierdzą, iż często samice płowe dają życie lisom srebrzystym lub czarnym. Najprawdopodobniejszem jest, iż lisy białe i niebieskie stanowią dwa gatunki osobne, gdy płowe, rude, srebrzyste i czarne należą do jednego i tego samego gatunku, różnica zaś ubarwienia jest tu przypadkowa.

Ale od tej przypadkowości zależy cena futer lisich. Lisy płowe, rude i białe nie dochodzą nigdy do cen zbyt wysokich, za to niebieskie są najbardziej poszukiwane i najwyżej płacone. Do wysokich cen dochodzą niekiedy futra lisów srebrzystych lub czarnych.

Katalogi składników angielskich przekonywują, iż na ostatniej licytacyi w Londynie kupiono skórkę lisa czarnego za 3.000 fr. Dodać należy, iż nie była to skórka bez skazy, gdyż tu i ówdzie miała włosy srebrnawe. Ileżby za tę skórkę zapłacono, gdyby była jednolicie czarna?...

— **Czy dawać dzieciom alkohole** t. j. wódkę, wino, lub piwo? Na to pytanie niejednokrotnie odpowiadali lekarze i pedagogowie przecząco, a przecież błąka się ono ciągle jeszcze dzięki temu, że tyle ludzi, tyle rozmaitych cioć lub dziadków chce być mądrzejszymi niż lekarze i z najgłębszem przekonaniem, że „pomagają naturze" lepiej niż wszelkie lekarstwa, dają dzieciom wyskokowe napoje. Przyzwyczaiwszy się sami do piwa lub wina nie mogą wcale zrozumieć, aby ono mogło dzieciom szkodzić. Przyczyną przesądu, bo tego inaczej nazwać nie można bywa także to, że czasem wyjątkowo lekarz dziecku musi przepisać n. p. koniak, piwo lub wino, a rodzice myślą, że co było dobrem w pewnych warunkach i dla jednego dziecka, jest dobrem zawsze i dla wszystkich dzieci. Ta wiara w uniwersalną skuteczność „pożywnego piwa, szlachetnego wina i pokrzepiającej wódeczki" jest przyczyną, że w wielu domach bywa to niemal rzeczą codzienną, że dzieciom dają przy obiedzie szklaneczkę piwa, a podczas wieczorków, wycieczek lub podobnych okoliczności zdarza się, że malec porządnie sobie podchmieli. W Niemczech nawet bywa zwyczajem, że chłopcom i dziewczętom daje się do szkoły małe flaszeczki z winem, aby się na przerwie niem „pokrzepiały".

Jak taki zwyczaj jest szkodliwym, wskazuje choćby tylko wynik ankiety, rozpisanej przez niemieckie „stowarzyszenie przeciw nadużywaniu napojów wyskokowych". Rozesłało ono zapytanie do stu lekarzy, pedagogów i t. d. z zapytaniem czy dzieciom wypada dawać alkohole. Odpowiedzi nadesłano przeszło 70, z tego z wyjątkiem dwóch wszystkie odpowiadają, że dzieci takich napojów nie potrzebują i nie znoszą. Odpowiedzi te wydano w osobnej książce. Bardzo ciekawem jest zdanie profesora Thomasa, kierownika szpitala dla dzieci w Fryburgu. Pisze on: Alkohol, w jakiejkolwiek postaci nawet jako lekkie piwo lub wino, jest trucizną dla zdrowego dziecka. Szkodzą one już dlatego, ponieważ psują im smak do mleka, tego najgłówniejszego pożywienia dziecinnego. Przez częste próbowanie napojów gorących dzieci wychowują się systematycznie na późniejszych pijaków, co im prędzej lub później rujnuje zdrowie i życie skróci. Już niemowlęciu szkodzi piwo, które pije mamka i często nie polepsza mu się dopóki mamka piwa się nie wyrzeknie. Starsze dzieci przez napoje wyskokowe tracą świeżość umysłu i ciała; dojrzewają przedwcześnie, źle się uczą, stają się bezkrwiste. Usposobienie ich też się często psuje; przedtem łagodne i powolne, staje się pod wpływem alkoholu, gniewnem, rozdrażnionem, krnąbrnem. Skoro im się zaprzestanie dawać alkohol, poprawiają się. Przewlekłe katary żołądka lub kiszek, zaburzenia nerwowe od najlżejszych objawów aż do zrywania się w nocy z krzykiem tańca św. Wita lub epilepsyi, dają się często uleczyć przez to tylko, że się zaniecha dawać piwa i wina. Systematyczne dawanie alkoholów jest jednym z najgorszych zwyczajów zdrowego dziecka: tylko w całkiem wyjątkowych warunkach alkohol bywa lekarstwem dla chorego dziecka. O potrzebie jego może orzec tylko sumienny lekarz po dokładnem zbadaniu dziecka i wszelkich wogóle warunków".

SPORT.

W numerze 4 *Przeglądu* z dnia 5 bm. donosiliśmy, że do biegu o nagrodę Austryi w Wiedniu w roku 1896 mianowano 313 koni. Obecnie, mając przed sobą spis koni mianowanych, uzupełniamy to doniesienie wiadomością, że w powyższej liczbie zapisanych jest 5 koni ze stajen galicyjskich: E. hr. Baworowski i W. Schindler mianowali po dwa konie, R. hr. Baworowski jednego.

*

Prawdopodobnie największą obecnie stajnię wyścigową posiada Alfons br. Rothschild, zamieszkały w Paryżu. Liczy ona ni mniej ni więcej jak 62 koni wyścigowych, z których 48 trenuje się we Francyi w Chantilly, a 14 w Newmarket w Anglii. Stado br. Rothschilda znajduje się we Francyi w Meautry nieopodal Paryża i obejmuje 37 klaczy czystej krwi.

* *

Jeśli prawdziwą jest pogłoska, podana przez niektóre dzienniki wiedeńskie, to pociesznej treści petycya wpłynęła do Rady państwa od Rady gminnej w Bukowinie koło Münchengrätz w Czechach. Podanie to wnosi, ażeby izba posłów uchwaliła, że wzywa się rząd do działania w tym kierunku, aby przy nadawaniu nazwisk koniom wychowanym w stadach rządowych unikano takich, któreby mogły powodować zgorszenie lub obrazę!

Jeśli to prawda, to zapewne koncept młodoczeski.

* *

Donosiliśmy w swoim czasie o Amerykaninie, p. R. Kneebs, którego uwięziono w Berlinie pod zarzutem oszustwa, popełnionego na rozmaitych wyścigach konnych w Niemczech.

Przypominamy tutaj, że klacz p. Kneebsa pod nazwiskiem „Bethel" biegała na rozmaitych torach kłusowych niemieckich, a łatwe i liczne jej zwycięstwa wzbudziły podejrzenie, że biega pod fałszywem nazwiskiem i że ona jest właściwie znaną w Ameryce klaczą „Lady Kneebs". Uwięziono więc jeszcze w maju p. Kneebsa i podejrzaną klacz, która dotychczas była pod nadzorem i na utrzymaniu rządowem: a ponieważ p. Kneebs utrzymywał, że klacz „Lady Kneebs" znajduje się w jego farmie w Ameryce, przeto zamyślano nawet na koszt państwa sprowadzić z Ameryki ową klacz i świadków, którzy ją dokładnie znają; zastanawiano się tylko nad ogromnymi kosztami, które to sprowadzenie z Ameryki za sobą pociągnie. Na szczęście pospieszyła z pomocą sądom berlińskim dyrekcya kłusowych wyścigów w Chicago.

Przeprowadzone przez nią śledztwo wykazało, że przebiegły a mało skrupulatny Yankee postarał się o inną klacz gniadą z takiemi samemi odznakami, jak „Lady Kneebs", a ponieważ ta ostatnia ma na przedniej nodze bliznę, z powodu że źrebięciem będąc, wpadłszy w druciane ogrodzenie, nogę była skaleczyła; więc też dla dokładności, owej klaczy, która pod jej nazwiskiem była w Ameryce, zrobiono sztuczne skaleczenie, aby i ten szczegół się zgadzał. Nic to wszystko jednak nie pomogło. Rzeczoznawcy zeznali jednogłośnie, że klacz im przedstawiona na owej farmie nie jest „Lady Kneebs", a komisya weterynarzy orzekła, że blizna na przedniej nodze jest zanadto świeżą, aby skaleczenie mogło było nastąpić, kiedy klacz była jeszcze źrebięciem; jest ono znacznie świeższej daty.

Tak więc oszustwo zostało wykryte i stwierdzone.

Telegramy „Przeglądu"

Peszt 8 stycznia. Arcyksiężna Marya Walerya przybyła tu wczoraj. Na dworcu oczekiwał ją Cesarz. Ludność witała ją z entuzyazmem.

W sferach kompetentnych zapewniają, że przesilenie ministeryalne jest już bliskie końca. Wczoraj o godzinie czwartej po południu był hr. Khuen-Hedervary znów na audyencyi u Cesarza. Powszechnie sądzą, że dziś otrzyma on misyę utworzenia gabinetu. Wczoraj wieczorem konferował hr. Khuen-Hedervary długo z Wekerlem i z prezesem sejmu Banffym.

Belgrad 8 stycznia. Ponieważ z powodu trudności żeglugi przez Żelazną Bramę na Dunaju nie mogło gagaryńskie towarzystwo żeglugi dostarczyć zarządowi monopolu naftowego zakontraktowanej ilości nafty, przeto rząd zezwolił na wolny dowóz nafty za opłatą 42 dinarów od centnara metrycznego.

Stuttgart 8 stycznia. Księżna Albrechtowa Wirtemberska szczęśliwie powiła syna.

Nadesłane.

Lwów dnia 8 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216— do 219·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 293.— do 296 —, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 435.— do 445.—.

Listy zastawne za 100 zł. Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·20 do 101·90, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·20 do 110·90, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101·20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 96·80 do 97·50, Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·60 do 98·30, 4 proc. los. w 56 lat. 97·30 do 98·—.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·30 do 98·— Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·70 do 000.00, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 do —·—, 4 i pół proc. 100.— do 100·70, 4 proc. z r. 1891 96.30 do 97·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 96·50 do 97·20.

Monety. Dukat cesarski 5·80 do 5.90, Napoleondor 9.81 do 9.91, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30 do 1.34, 100 marek niemieckich 60.60 do 61·—.

Wiedeń 8 stycznia (godz. 11 w południ.) Kredyty 411.75, kred. węg. —.—, Anglobanki 183.60, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 281.90, Akcye tyton. 233.50, Staatsbahny 396.50, Lomb. (z kup.) 106.—, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.75, Losy tureckie —·—.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pośpieszne		osobowe		
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	2·24	10·10	4·50	10·35	6·55
Warszawy	—	10·10	4·50	—	6·55
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	7·10	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	10·1	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg przez Tarnów	—	—	4·50	—	—
M.-Kr. Żeg przez Stryj	—	—	—	7·10	
Mezö-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	6·55
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	10·10	4·50	—	—
Podw. i Brod z dw. gł.	6·08	2·44	9·40	10·20	—
„ „ z Podz	6·23	2·36	10·04	12·47	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	10·30
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	10·30
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	10·30
Nowosielicy	6·15	—	—	—	10·30
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	10·30
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	6·45	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	5·40	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	5·40	—	7·10
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	7·10
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	3·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	6·10	9·00
Warszawy	—	5·25	9·00	—	9·00
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz lub Tarn.	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny Krynicy Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	9·00
Musz.-Kryn. Żeg przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	6·10	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	9·29	9·10	5·45	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	9·13	8·45	5·19	—
Suczawy	9·40	—	7·37	12·27	6·35
Kimpolungu	9·40	—	7.37	—	—
Radowiec	9·40	—	7·37	—	6·35
Berhometu i Czudyna	9·40	—	—	—	—
Nowosielicy	9·40	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	9·40	—	—	—	6·35
Husiatyna przez Halicz	9·40	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	12·10	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisl. przez Stryj	—	—	8·34	12·10	—
Stryja i Skolego	—	—	8·47	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biurze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

6)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Ołowiana atmosfera smutku zaciężyła nad domem, w którym ucichły wszelkie objawy życia; służba snuła się po korytarzach, rozmawiając strwożonemi szepty; we wszystkich oczach widać było łzy i zaniepokojenie. Obcy ludzie o poważnej i złowróżbnej twarzy dniem i nocą czuwali przy łożu chorej. Raz nawet, czując się niepostrzeżony pod drzwiami, chłopczyna spostrzegł ślady krwi na ich rękach i powziąwszy straszne podejrzenie, że oni tam trzymają matkę w zamknięciu, aby ją męczyć, postanowił ich wszystkich wymordować. W tym celu ściągnąwszy nożyk deserowy z kredensu ukrył go pod poduszką, a wśród nocy, kiedy wszyscy spali, wstał cichaczem z łóżeczka i bosy, w białej koszulce, drżący ze strachu przed duchami, przemknął się odważnie przez szereg pustych i milczących komnat, aż do stojących otworem drzwi sypialni matki. Tam zastał drzemiącą przy przyćmionej lampie służebną kobietę, a na łóżku ujrzał leżącą postać bladą bardzo, wycieńczoną i nieruchomą. Wsunął się niepostrzeżenie pod łóżko, zaciskając nożyk w drżącej piąstce. Widział, jak ojciec wszedł na palcach do pokoju, stanął obok wezgłowia chorej i wpatrywał się w nią w milczeniu, aż dwie strugi łez puściły mu się z oczu. Dozorczyni szybko podeszła do niego i szepcząc coś wyprowadziła go z pokoju. Wtedy chłopczyna wysunął się ze swej kryjówki i upuściwszy broń, z głośnym płaczem rzucił się na pierś nieruchomej postaci.

— Mamo! — wołał przez łzy. — Mamo! mamo!

Ten krzyk rozpaczy dziecka przeszył na wpół martwą pierś matki i echem uczucia zbudził umysł jej pogrążony już w odrętwienu nicości. Postać drgnęła, a w przygasłych bielmem śmierci oczach odbił się pierwszy blask powracającego życia. Lady Zuzanna opowiadała zawsze potem, że ten głos syna wyrwał ją szponom śmierci.

Ta ubóstwiana w dzieciństwie matka stała się w młodości najlepszym przyjacielem, doradzcą i powiernikiem syna. Rozrzewniony jej wspomnieniem odczytywał teraz powtórnie ostatni jej list, nie zawierający żandych czułych frazesów, ale wiele głębokich myśli przeplatanych iskrami dowcipu, spostrzeżeń i trafnych uwag nad potocznemi sprawami życia. Był to list przyjaciela do przyjaciela, wart głębszego zastanowienia. Andrzej zamyślił się też głęboko nad nim, aż póki nie zasnął z głową opartą na kamieniu.

Gdy się przebudził po długiej, pokrzepiającej drzemce, słońce pochyliło się już na niebosklonie. Poszedł szukać czółna w miejscu gdze je przywiązał, ale go tam nie było. Po długich poszukiwaniach znalazł je o wiele dalej, ale odarte z żagli, z czterema dziurami wywierconemi u spodu i bez wioseł. W tym stanie było ono zupełnie niezdatne do użytku. Nie pozostawało więc Andrzejowi jak usiąść na brzegu niby drugi Robinzon Kruzoe i czekać, aż mu Opatrzność ześle jakiś środek ratuku.

Okręty pojawiały się niekiedy w oddali, ale żaden z nich nie zbliżył się o tyle, aby spostrzedz sygnał rozbitka.

Słońce skryło się w purpurowej topieli, ciemność zapadła nad światem; krzyki morskiego ptactwa dawno ucichły, światła oddalonej wioski zagasły, a blade gwiazdy zapaliły się na ciemnym szafirze nieba. Położenie zgłodniałego i przeziębniętego poety na skale wystającej z głębin szumiącej toni stawało się coraz drażliwszem. Czuł ból dotkliwy w znużonych członkach, a fale, podnoszące się coraz wyżej, srebrną pianą bryzgały mu twarz i piersi. Wilgotne, skaliste łoże, tak ponętne w południowym skwarze, stało się teraz twardem i arcyniewygodnem. Tymczasem gwiazdy powolnym swoim pochodem po obszarze niebios znaczyły upływające godziny, a chłód wzrastający bił z czarnej otchłani szemrzących wód. W końcu niebo zaczęło blednąć i pierwsze brzaski świtającego dnia ukazały się na dalekim horyzoncie. Zęby Andrzeja dygotały jak w febrze, czuł, że krew krzepnie mu w żyłach, miał bowiem tylko na sobie flanelową koszulę, gdyż tużurek zrzucił w czółnie dla większej swobody ruchów. Upłynęło jeszcze dużo czasu, zanim młodzi Kéronac'owie zaniepokojeni jego zniknięciem, odszukali go na skale i zabrawszy do swej łodzi nawpół omdlałego z głodu i zimna, odwieźli w stanie nawpół przytomnym do St. Brilenc.

Gabryel obejrzał starannie uszkodzoną łódź i mruknął pod nosem:

— To sprawka Calloca.

Marlowe zmuszony był coprędzej położyć się do łóżka.

Matka Zuzanna zaparzyła mu gorących ziółek i poleciła go opiece św. Anny d'Auray.

Po kilku godzinach gorączkowego snu zerwał się z łóżka i nie mogąc usiedzieć w miejscu poszedł przejść się w słońcu.

— Muszę ustąpić z drogi — myślał wzburzony — a wtedy może ten rozbójnik Hoël przestanie pastwić się nad tą biedną dziewczyną. On zazdrosny o mnie!... Gabryel podejrzywający zemstę! Miły Boże! Więc już nas ludzie biorą na języki... Mam tylko nadzieję, że to nie dojdzie do uszu Renaty. Radbym dostać tego łotra w swoje ręce...

Szedł zamyślony wolnym krokiem, gdy naraz głośny okrzyk przerażenia odbił się o jego uszy. Towarzyszył mu brzęk tłuczonego dzbanka, odgłos zadawanych brutalną ręką razów i suchy trzask łamanych gałęzi zalatujący z gęstwiny od strony polanki, gdzie niegdyś usłyszał po raz pierwszy śpiew Korigany.

ROZDZIAŁ IV.

Andrzej rzucił się w zarośla, gdzie oczy jego spotkał widok, od którego pierś zawrzała oburzeniem. Renata zakrwawiona, z rozwianym włosem i pałającemi oczyma, walczyła z całych sił, chcąc się wyrwać z przytrzymującej ją żelaznej dłoni Hoëla Calloca, który rozwścieczony, z krwią nabiegłym wzrokiem, targając ją za długie, rozpuszczone warkocze, okładał plecy jej rzemiennym pasem.

Ale zamiast bezbronnej ofiary, natrafił na silną i nieustraszoną dziewczynę, która prócz guseł, czarów i duchów nie lękała się niczego na świecie. Andrzej widział ją raz zaskoczoną burzą na morzu, gdy odważnie schwyciwszy ster w silne ręce wtedy gdy wszyscy opuścili rozpacznie dłonie, doprowadziła bezpiecznie wątły statek do przystani. Widział ją przytomną wobec powszechnej grozy i przerażenia, zarzucającą płachtę na oczy rozjuszonemu bykowi, przed którym ludzie wiejscy rozbiegli się na wszystkie strony. Nie dziwił się też, że i w zapasach z zazdrosnym wielbicielem odwaga i przytomność umysłu nie opuściły jej na chwilę.

— Ja cię nauczę zadawać się z pięknymi Anglikami! — wołał Calloc przez zaciśnięte zęby. — Ja ci pokażę, co to jest drwinki sobie robić ze mnie, ty wietrznico, ty...

W tejże chwili rzemień świszczący w powietrzu wypadł z jego ręki pod uderzeniem zadanego znienacka tak silnego razu, że aż kości jego zatrzeszczały po samo ramię. Drugie, gwałtowniejsze jeszcze uderzenie niewidzialnej a żelaznej pięści powaliło napastnika o ziemię.

— Wstawaj, łotrze, niech cię oćwiczę jak należy! — krzyknął Marlowe blady jak trup z gniewu, pochylając się nad rozpostartym na ziemi obezwładnionym olbrzymem.

— Święta Anno d'Auray! — wyjąkał Hoël, któremu białka oczu wychodziły na wierzch.— Duchy... czy jakie licho...

— Wstawaj, gałganie! — powtórzył Marlowe — jeżeli nie chcesz, abym cię wziął za kark i zgniótł jak szkodliwego gadu!

Bretończyk żegnając się, klnąc i szepcząc jednem tchnieniem wezwania do wszystkich świętych, cofał się trwożnie, czołgając przed wyciągniętą groźnie dłonią, naraz zerwał się na nogi i z dzikim krzykiem, podobnym do krzyku ranionego żubra, rzucił się w głąb lasu. Marlowe kopnął go nogą, zostawiając sobie na później przyjemność połamania mu kości i zwrócił się do ocalonej dziewczyny.

Hoël tymczasem gnany śmiertelną trwogą pędził bez opamiętania przez najgęstsze zarośla. Zabobonnny Bretończyk oswojony był z pojawianiem się upiorów i wilkołaków, ale nie postało mu nawet w myśli, aby ten przeklęty Anglik, którego wczoraj piekielnie pomyślanym podstępem posłał na samo dno morza, tak prędko powrócił z tamtego świata dla wymierzenia mu sprawiedliwości. Pomyślałby kto, że był w zmowie z tą dziewczyną, żeby mu zepsuć całą przyjemność pastwienia się nad nią. Z chrześcijańskiemi duchami to jeszcze pół biedy; człowiek mógł jako tako dać sobie radę; ale heretycy świeżo zabici i nie pochowani jeszcze w święconej ziemi, ci przemieniali się snać odrazu w djabłów rogatych. To też wystraszony kochanek przysięgał w duchu świętej Annie d'Auray, że dla miłości choćby najpiękniejszej w całym kraju dziewczyny żadnego już z tych pogan nie wyprawi do piekieł.

Renata tymczasem, oswobodzona od swego prześladowcy, zdyszana i drżąca, z przepysznemi włosami rzuconemi na ramiona, siedziała na kamieniu, fartuchem ocierając ślady krwi z twarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.